

11612/66

Julia Walter

MAKSYM GORKIJ.

WARENIKA OLESSÓWNA.

PRZEKŁAD

HENRYKA SALZA.



STANISŁAWÓW.

ALBIN STAUDACHER I SPÓŁKA.

WARSZAWA — JAN FISZER.

1903.

WARENIKA OLESSÓWNA.

Kraków. — Druk W. L. Anczyca i Spółki

MAKSYM GORKIJ.

WARENIKA OLESSÓWNA.

PRZEKŁAD

HENRYKA SALZA.



STANISŁAWÓW.

ALBIN STAUDACHER I SPÓŁKA.

WARSZAWA — JAN FISZER.

1905.

I. K. JAKUBOWSKIEGO WWA

Księgarnia i Drukarnia

w Nowym Sączu.

M612/66

LP II 8020

253264

I

Antykw. J. Dlubnycht
M. Sacer

1. 8. 1966 10. - 21



W kilka dni po zamianowaniu docentem prywatnym w jednym z prowincjonalnych uniwersytetów, otrzymał Hipolit Sergejewicz Polkanów telegram od swojej siostry, która mieszkała w dobrach swoich w odległej gubernii leśnej nad Wołgą.

Telegram donosił krótko:

— Mąż umarł; przyjeżdżaj — na miłość Boga — co prędzej z pomocą — Elżbieta.

To niepokojące wezwanie dotknęło go bardzo niemiło; pokrzyżowało mu wszystkie plany i popsuło nastrój.

Postanowił był sobie lato to spędzić na wsi u jednego ze swoich przyjaciół i wiele tam pracować, by z czekających go wykładów godnie się wywiązać; teraz musiał się o przeszło 1000 wiorst od Petersburga, swego miejsca przeznaczenia, oddalić, by pocieszać kobietę, po stracie jej męża... A sądząc po listach, niezbyt z nim szczęśliwie żyła.

Przed czterema blisko laty widział się ze swoją siostrą po raz ostatni; pisywali do siebie rzadko i już oddawna istniał między nimi ten oficjalny

apoplektycznym skarżył się prawie codziennie na kłucie w sercu, nieregularny puls i bezsenność... A jednak, gdy go wniesiono z pola, odmówiły mi nogi usług. Opowiadano, że się tam uniósł i krzyczał... a poprzedniego wieczora pojechał był do Olessowa; jest to właściciel ziemski, spensyonowany pułkownik, pijaczysko i cynik, sparaliżowany wskutek podagry... à propos, ma córkę, całkiem ładną dziewczynę, powiadam ci... no ty ją już poznasz.

— Jeśli to nieuniknione — przerwał jej Hipolit Sergejewicz i spojrzał z uśmiechem na siostrę.

— To nie idzie; ona tu często przychodzi... a teraz będzie jeszcze częściej przychodziła — odrzekła mu, uśmiechając się również.

— Czy szuka kandydatów do małżeństwa? Ja się do takiej roli nie nadaję.

Siostra spojrzała mu przenikliwie w twarz — owalną, szczupłą twarz z szpicziastą bródką czarną i wysokiem, białem czołem. — Dlaczego ty się do tego nie nadajesz? myślę naturalnie tylko w ogólności, bez żadnych aluzji do Olessówny; to już sam zrozumiesz, gdy ją poznasz... Ale ty przecież myślisz o żeniaczce?

— Na razie nie jeszcze — odparł krótko — podnosząc swoje jasno-siwe, suchym blaskiem lśniące oczy od szklanki herbaty.

— Słusznie — rzekła Elżbieta Sergejewna z zamysleniem — w trzydziestym roku jest ten krok dla mężczyzny za późny i za wczesny.

Cieszyło go, że urwała rozmowę o śmierci męża; ale w jakim właściwie celu wzywała go tak uporczywie do siebie?

— Mężczyźni muszą się żenić albo w dwudziestym albo w czterdziestym roku — rzekła, namyślając się, — wtedy zachodzi mniejsze niebezpieczeństwo oszukania siebie i drugiego człowieka... A gdyby ten zawód miał nastąpić, to okupuje się go w pierwszym wypadku młodzieńczą świeżością uczucia, w drugim po prostu zapewnionem stanowiskiem, jakie mężczyzna w czterdziestce przecież zawsze zajmuje.

Zdawało mu się, że mówiła to więcej do siebie niż do niego; nie przerywał jej więc, wparł się wygodnie w fotel i wdychał z rozkoszą wonne powietrze.

— Był, jak ci już wspomniałam, wieczorem, przed śmiercią, u Olessowa i pił, jak zwykle, dużo... No i tak — Elżbieta Sergejewna potrząsa smutnie głową — jestem teraz sama... Właściwie byłam już po pierwszych trzech latach mego zameścia wewnętrznie osamotnioną, ale teraz jestem w takim szczególnem położeniu! Mam dwadzieścia ośm lat, nie żyłam, byłam tylko opiekunką mego męża i moich dzieci... dzieci nie żyją; a ja — czem ja teraz jestem? Co mam począć i jak żyć? Sprzedałabym to dobro i przeniosłabym się za granicę; ale brat jego podnosi pretensye do spadku — proces nie jest wykluczony. Nie chcę nic z mojej własności

oddać bez prawnej podstawy, a nie widzę żadnej w żądaniach jego brata. Co ty o tem myślisz?

— Ty wiesz, że nie jestem jurystą — rzekł Hipolit Sergejewicz — ale... opowiedz mi tę historię... zobaczymy... ten brat... czy ci co pisał?

— Tak, a w dodatku list dość grubiański. To jest karciarz, człowiek doszczętnie zrujnowany, upadły... mój mąż nie bardzo go lubił, choć mieli ze sobą dużo wspólnego.

— Zobaczymy — rzekł Hipolit Sergejewicz — zacierając ręce z zadowoleniem. Cieszyło go to, że się dowiedział, na co siostrze był potrzebny. Przedewszystkiem bowiem troszczył się o utrzymanie swojej wewnętrznej równowagi, a jeśli czasem jakaś niepewność tę równowagę burzyła, ogarniał go niewytłómaczony niepokój i rozdrażnienie, które parło go nieprzerwanie do zrozumienia tej niejasności, aby ją jak najprędzej wciągnąć w ramy swego światopoglądu i puścić w zapomnienie.

— Mówiąc otwarcie — trochę mię te niedorzeczne pretensye nastraszyły — rzekła Elżbieta Sergejewna cicho, nie patrząc na brata; — jestem taka zmęczona, Hipolicie, takbym rada odpocząć... a tu się znów zanosi na coś...

Westchnęła głęboko i wzięwszy od niego szklanke, dodała smutnym głosem, który nerwy jej brata nieprzyjemnie tknął: — Ośmioletnie pożycie z takim człowiekiem, jak mój mąż — to mnie przecież daje prawo odpocząć. Na mojem miejscu inna

kobieta z mniej rozwiniętem poczuciem obowiązku i mniejszej prawości, byłaby dawno stargała ciężkie łańcuchy, ale ja dźwigałam je, choć padałam pod ich naciskiem... A śmierć dzieci... ach, Hipolicie, gdybyś ty wiedział, jak ja cierpiałam, kiedym je straciła!...

Patrzył jej w twarz z wyrazem współczucia — ale skargi jej nie wzruszały go. Ton i sposób, w jaki je wypowiadała, nie podobały mu się; była to mowa książkowa, niewłaściwa ludziom głęboko czującym; a jej jasne oczy błdziły tak dziwnie dookoła i tylko rzadko kiedy zatrzymywały się na jakimś przedmiocie. Ruchy jej były miękkie i ostrożne, a z jej smukłej postaci wiało wewnętrzne zimno.

Na poręczu tarasu usiadło drobne ptaszę, ćwierkotając, skakało dokoła i pierzchło. Brat i siostra odprowadzili je swojemi spojrzeniami i milczeli kilka chwil.

— Przychodzi kto czasem do ciebie? Czytujesz? — zapytał brat, zapalając sobie papierosa; w duszy myślał: jak pięknieby to było, ten uroczy spokojny wieczór przepędzić w milczeniu i siedząc tak na tym tarasie sparty o wygodny fotel, przysłuchiwać się cichemu szmerowi liści i oczekiwać nocy, która wnet przyjdzie usnąć dźwięki natury i obudzić gwiazdy...

— Odwiedza mnie Warenika; nadto przychodzi czasem Banarzowa... przypominasz ją sobie?... Lud-

miła Wasylówna... ona także źle żyje ze swoim mężem... ale umie się urządzać. Z moim mężem obcowało wielu panów, ale żaden z nich nie jest interesujący. Istotnie, nie mam nikogo, z kim-bym kilka słów zamienić mogła... Gospodarstwo, polowanie, niesnaski z rady miejscowej, plotki — oto wszystko, o czym oni mówią... Tylko jeden jest... asesor Beńkowski! poczekajno! zdaje mi się, że on właśnie nadjeżdża!

— Któż taki?... Ten Beńkowski?... zapytał Hipolit Sergejewicz.

Pytanie jego — nie wiedzieć czemu — pobudziło ją do śmiechu; śmiejąc się podniosła się z fotelu i zawołała zmienionym głosem:

— Warenika!

— Ach!

— Chcę widzieć, co ty o niej powiesz... Tu ona wszystkich zdobyła. Ale co to za duchowy kaleka. No, zresztą przecież sam zobaczysz.

— Nie mam najmniejszej ochoty — oświadczył obojętnie, wyciągając się w fotelu.

— W tej chwili wracam — powiedziała Elżbieta Sergejewna, wychodząc.

— A ona w twojej nieobecności nadejdzie? — zapytał zaniepokojony — nie idź proszę — raczej ja pójdę!

— Zaraz wrócę! — wołała do niego siostra z pokoju.

Hipolit zmarszczył czoło, pozostał na miejscu

i spoglądał ku parkowi. Skądś dochodził tętent koni i zgrzyt kół grzęznących w piasku.

Przed oczyma Hipolita ciągnął się szereg starych, sękatych topól, dębów i klonów, otulonych zmierzchem. Rosochate ich konary spletały się z sobą, tworząc gęste sklepienie pachnącej zieleni; a wszystkie te sędziwe drzewa z popękana korą, z pokruszonymi gałęziami, wydawały się jakby żywe, zaprzyjaźnione istoty, które złączyło jedno wspólne usilne dążenie w górę — ku światłu...

Ale ich kora pokryta była grubą warstwą żółtej pleśni; z korzeni ich strzelały liczne młode wyrostki — dlatego stare, potężne drzewa miały mnóstwo zeschniętych gałęzi, które jak szkielety wisiały w powietrzu.

Hipolit Sergejewicz przypatrywał się im i radby był zasnąć pod tchnieniem tego starego parku.

Poprzez pnie i gałęzie drzew świeciły krwawe plamy na horyzoncie, a na tem tle wydawały się drzewa jeszcze bardziej ponure i chuderlawe. W alei, która z tarasu w zamgloną dal się rozciągała, poruszały się gęste cienie, a z każdą chwilą rosła cisza, wyczarowując mistyczne majaki.

Ulegając czarowi wieczoru, kreśliła mu wyobraźnia w cieniu sylwetkę znajomej mu kobiety i jego samego — szli poprzez aleę — daleko — hen — ona tuliła się do niego, a on czuł ciepło jej ciała...

— Dobry wieczór! — ozwał się nagle pełny głos piersiowy.

Zerwał się i obrócił się, nieco zakłopotany.

Przed nim stała dziewczyna średniego wzrostu w popielatej sukni. Na głowie miała coś białego i wietrznego, co wyglądało jak welon ślubny. To było wszystko, co w pierwszej chwili zauważył.

Wyciągnęła ku niemu rękę:

— Hipolit Sergejewicz, tak? — Olessówna... wiedziałam już, że dziś przyjdziecie i przyszedłam zobaczyć, co też z was za człowiek. Nie widziałam nigdy uczonych i nie wiedziałam, że tak mogą wyglądać.

Silna, gorąca, biała ręka ścisnęła mu dłoń, a on nieco zmieszany tym niespodziewanym atakiem, uklonił się kilka razy w milczeniu; własne zakłopotanie sprawiało mu przykrość. Spodziewał się, że się spotka z otwartą i grubą kokieterią, jeśli spojrzy w jej oblicze; ale gdy podniósł głowę, zobaczył duże, ciemne oczy, które się serdecznie i pieszczotliwie uśmiechały, rozjaśniając piękną twarz. Przypomniawszy sobie, że podobne oblicze, dumne na swą zdrową piękność, oglądał niegdyś na starym włoskim obrazie... Takie same małe, pełne usta, takie same wysokie, sklepione czoło i te same duże oczy...

— Pozwoli pani... każe przynieść światło... Proszę siadać...

— Ależ proszę się nie trudzić; jestem tu jak w domu — odparła, siadając na jego miejscu.

On stanął przy stole naprzeciw niej i obserwował ją, chociaż czuł, że postępuje niezręcznie, że powinien mówić; ale ona mówiła sama, nie mieszając się wcale pod wpływem jego uporczywych spojrzeń.

Pytała go, jak przyjechał, czy mu się wieś podoba, czy zamyśla tu długo zabawić; on dawał odpowiedzi jednozgłoskowe; snuły mu się po głowie urywane myśli; był jakby atakiem jakimś ogłuszony i jego zresztą tak jasny rozsądek mącił się pod potęgą nagle wzbudzonych i splątanych uczuć.

Uczucie zachwytu dla niej walczyło w nim z niezadowoleniem z siebie samego, a ciekawość z czemś, co niemal z obawą graniczyło...

A ta zdrowa, kwitnąca dziewczyna siedziała naprzeciw niego niedbale w fotelu, otulona szczelnie materią swojej sukni, po przez którą można było rozeznąć bujne kształty jej pleców, piersi i ciała i dźwięcznym głosem, w którym leżało coś rozkazującego, mówiła do niego o błahych rzeczach, stanowiących zwykły temat rozmowy przy pierwszym spotkaniu z obcymi ludźmi.

Jej ciemno-brunatne włosy układały się w cudowne fale, a oczy i brwi były jeszcze czerniejsze niż włosy. Na ciemnej szyi, koło różowo prześwietlającego ucha drżała skóra, zdradzając szybki obieg jej krwi; ilekroć uśmiech odsłaniał

jej białe, drobne ząbki, tworzył się w brodzie dołeczek; z każdego fałdu jej sukni wiało uwodzącym czarem...

Leżało coś krwiożerczego w sklepieniach jej nosa i w drobnych zębach, połyskujących za soczystymi ustami; a poza, pełna niewymuszonego wdzięku, przypominała gracyę sytych, rozpieszczonych kotów.

Hipolit Sergejewicz miał uczucie, jak gdyby się rozdawał: jedna połowa jego istoty odurzona zmysłową tą pięknością pogrążona była w niewolniczem wpatrywaniu się w nią; druga — konstatowała mechanicznie stan pierwszej i czuła, że traciła nad nią władzę.

Odpowiadał na zapytania dziewczyny i sam do niej pytania stosował, nie będąc w stanie oderwać oczu od czarującej jej postaci.

Charakteryzował ją już skrycie jako wspaniałą okaz samiczki: uśmiechał się w duchu chytrze nad sobą; ale to nie usuwało jego wewnętrznego rozdwojenia.

Trwało to, aż się jego siostra pojawiła na tarasie i zawołała:

— Powiedźcie tylko!... co za zręczność!... ja jej tam szukam, a ona już...

— Ja szłam przez park.

— No — poznaliście się?

— O tak!... Ja sobie wyobrażałam, że Hipolit Sergejewicz już co najmniej ma łysinę.

— Czy nalać ci herbaty?

— Przezemnie, proszę.

Hipolit Sergejewicz oddalił się od nich i wstał na schodki wiodące do parku.

Przejechał sobie ręką po twarzy i palcami po oczach, jakby chciał z nich zetrzeć pył. Wstydził się sam przed sobą, że mógł uleść nagłemu wybuchowi uczuć. Wstyd z tego powodu ustąpił wnet pewnemu rozdrażnieniu względem dziewczyny. Scenę z nią nazywał kozackim atakiem na narzeczonych i chciał jej pokazać, że jest całkiem obojętny na jej czarującą piękność.

— Przenocuję u ciebie i zostanę także jutro przez cały dzień — rzekła do jego siostry.

— A co się stanie z Wasylem Stefanowiczem? — spytała siostra zdziwiona.

— Ciocia Łuczycka bawi u nas, więc się nim zajmie... wiesz, ojciec ją bardzo lubi...

— Proszę mi wybaczyć — rzekł Hipolit Sergejewicz sucho — jestem bardzo znużony i idę spocząć... — Ukłonił się i poszedł, a za nim rozległy się życzliwe słowa Wareniki:

— Powinniście byli dawno to uczynić!...

W tonie jej słów słyszał tylko dobroduszną, ale on tę dobroduszną określał jako przymilanie się i nieszczerłość.

Urządzony dla niego pokój służył przedtem mężowi jego siostry za pracownię. W środku pokoju stał duży, ciężki stół, przed nim dębowe

krzesło; jedną ścianę zajmowała prawie na całą długość szeroka postrzępiona otomana, drugą zajmował fortepian i dwie szafy z książkami. Kilka dużych miękkich foteli, stoliczek na papierosy przy otomanie i drugi do szachów przy oknie dopełniały urządzenia pokoju. Powąła była niska i okopcona, ze ścian spoglądały obrazy i miedzioryty w grubych pozłacanych ramach, jakby ciemne plamy. Wszystko było ciężkie i stare i wydzielało nieprzyjemny zapach. Na stole stała wielka lampa z niebieską umbrą, z pod której światło padało na podłogę.

Hipolit Sergejewicz zatrzymał się u brzegu tego kręgu i z uczuciem niewytłómaczonego niepokoju spoglądał w okna komnaty.

Poza obu oknami, w zmierzchu nadciągającej nocy, odcinały się sylwety ciemnych drzew. Poszedł i otworzył oba okna.

Pokój nappełnił się zapachem lipowego kwiecia, a wraz z tym zapachem wleciało brzmienie wesołego śmiechu.

Na otomanie przygotowane było łóżko dla niego; zajmowało ono nieco więcej niż jej połowę. Przyglądał mu się i zaczął odwiązywać krawat.

Ale nagle cisnął gwałtownym ruchem krzesło ku oknu i usiadł, marszcząc czoło.

Uczucie niezadowolenia ze siebie samego rzadko kiedy go opanowywało; a ilekroć go nawiedzało, ogarniało go nie gwałtownie i nie na długo; umiał

go się prędko pozbywać. Był przekonany, że człowiek może i musi swoje wzruszenia wewnętrzne rozumieć i albo je rozwijać albo tłumić; a gdy mowa była o tajemniczem skomplikowaniu psychicznego życia człowieka, uśmiechał się ironicznie i nazywał takie zapatrywania metafizycznymi. Tem bardziej dręczącym było dlań uczucie, że obecnie sam przestąpił ów krąg niewyjaśnionych wzruszeń. Pytał sam siebie: czyż to możliwe, aby spotkanie się z tem zdrowem i pięknem, widocznie bardzo zmysłowem i głupiem dziewczęciem, tak szczególnie na niego mogło wpłynąć? I badając uważnie szereg wrażeń z tego dnia, musiał przyznać: tak jest! Bo ona jego umysł nagle opanowała, tem łatwiej, że był bardzo podróżą zmęczony i w chwili jej zjawienia się znajdował się w niezwykłym stanie rozmarzenia.

Te rozmyślania uspokoiły go nieco — i wnet zjawiała się znowu przed jego oczyma w swojej bujnej, dziewiczej piękności.

Obserwował ją, przymrużał oczy i łykał nerwowo dym ze swego papierosa; ale obserwując, krytykował ją zarazem: w gruncie rzeczy — myślał — jest ona pospolita: za dużo krwi i muskułów w jej zdrowem ciele, a mało nerwów. Jej naiwne oblicze nie ma w sobie wyrazu inteligencji, a duma, świecąca w otwartem spojrzeniu jej głębokich, czarnych oczu, jest dumą kobiety, prze-

świadczonej o swojej piękności i zepsutej podziwem ze strony mężczyzn.

Siostra wspominała mu, że ta Warenika wszystkich zdobywa; zapewne i jego spróbuje zdobyć... Ale on tu przyszedł, aby pracować a nie popełniać głupstwa; o tem się wkrótce przekona...

Ale czy też ja za dużo o niej nie myślę, jak na pierwsze spotkanie? — przebiegło mu przez głowę...

Olbrzymi, krwawo-rumiany księżyc dźwignął się kędyś daleko z poza drzew parkowych; wyzierał z ciemności niby oko potwora, które ona sama narodziła...

Niewyraźne dźwięki dolatywały od strony wsi...

Pod oknem w murawie dawał się czasem słyszeć jakiś szelest; był to zapewne kret lub jeź na żer idący...

Kędyś słowik kwilił — a księżyc podnosił się w górę powoli, jak gdyby mu świadomą była fatalna konieczność jego biegu i jak gdyby go ta świadomość męczyła...

Hipolit Sergejewicz rzucił dopalony papieros za okno, rozebrał się i zgasił lampę.

Mrok wcisnął się w komnatę, a drzewa jakoby się ku oknom bliżej przysunęły, by do wnętrza zajrzeć.

Na podłogę komnaty kładły się dwie smugi miesięcznej poświaty, słabe jeszcze i mętne...

Sprężyny otomany skrzypiały pod ciężarem Hi-

polita, który przenikniony przyjemną świeżością płócienną bielizny, rozciągnął się i legł nieruchomo na grzbiecie.

Po chwili zdrzemnął się i słyszał za oknami ostrożne kroki i przyciszony szept:

— Maryo, ty tu?... co?... — z uśmiechem zasnął.

Zbudziwszy się nazajutrz w jaskrawem świetle słońca, które napełniało pokój, uśmiechał się znowu na wspomnienie wczorajszego wieczoru — i dziewczyny.

Do herbaty zjawił się starannie ubrany, sztywny i poważny, jak to przystało na uczonego.

Gdy jednak przy stole zobaczył tylko swoją siostrę, mimowoli wykradły mu się słowa:

— A gdzie jest?...

Filuterny uśmiech siostry zamknął mu usta, nim dokończył pytania.

Milcząc, siadł przy stole.

Elżbieta Sergejewna oglądała starannie jego ubiór, nie przestając się uśmiechać i nie zważając na jego ściągnięte brwi. Jego drażnił ten wiele mówiący uśmiech.

— Ona już dawno wstała; poszłyśmy się razem kąpać, teraz prawdopodobnie jest w parku — oświadczyła Elżbieta Sergejewna.

— Jak ty dokładnie informujesz — rzekł z ironicznym uśmiechem. — Każ, proszę, zaraz po herbacie kufry moje otworzyć.

— Czy i rzeczy wyjąć?

— Nie, nie, to zbyteczne, ja to sam zrobię, bo mi się wszystko porozrzuca... Są tam i cukierki dla ciebie i książki.

— Dziękuję. To pięknie... Ah! otóż i Warenika!

Stała w drzwiach w lekkiej, białej sukni, która w licznych fałdach spadała z ramion do nóg. Strój jej miał wiele podobieństwa do bluzki dziecięcej, a ona sama wyglądała w nim jak dziecko.

Chwilę zatrzymała się we drzwiach i spytała:

— Więc czekaliście na mnie?... — i bez szelustu, jak obłok, przystąpiła do stołu.

Hipolit Sergejewicz skłonił się w milczeniu, a ściskając jej rękę, wciągał delikatną woń fiołków, którą szerzyła wkoło siebie.

— Boże! toś się uperfumowała! — zawołała Elżbieta Sergejewna.

— Czy więcej, niż zwykle? Lubicie perfumy, Hipolicie Sergejewiczu? ja, strasznie! Kiedy są fiołki, zrywam je co rana po kąpieli i rozcieram w ręce; nauczyłam się tego jeszcze w szkole... A wy lubicie fiołki?

On pił herbatę, nie patrząc na nią; ale czuł, że oczy jej spoczywają mu na twarzy.

— Istotnie, nigdy się nad tem nie zastanawiałem, czy mi się podobają, czy nie — odparł sucho, wzruszając ramionami. Ale podnosząc oczy na nią, uśmiechał się pomimowoli.

Odbijając od śnieżno-białej materji jej sukni, jaśniało jej oblicze w mocnej czerwieni a głębokie oczy promieniały jasną radością. Biło od niej zdrowie, świeżość i nieuświadomione szczęście. Była piękną jak północny poranek majowy.

— Nie myśleliście? — zawołała. — Jak to możliwe? wszak jesteście botanikiem.

— Ale nie hodowcą kwiatów — oświadczył krótko i myślał niezadowolony, że to może niegrzecznie, przyczem odwrócił wzrok w inną stronę.

— Czyż nie są hodowla kwiatów i botanika tem samem? — zapytała po chwili milczenia.

Siostra jego zaśmiała się głośno i swobodnie. Uczuł nagle, że śmiech ten nieprzyjemnie go dotknął, i z żalem musiał sobie powiedzieć: »tak, ona jest głupią«. Później jednak, gdy wytłómaczył jej różnicę między botaniką a hodowlą kwiatów, złagodził swój sąd o niej o tyle, iż jest tylko niewykształconą. Przysłuchiwała się jego poważnej i gruntownej mowie i patrzyła nań oczyma uważnej uczenicy — to mu się podobało. Podczas tego, gdy mówił, przenosił z niej często wzrok na siostrę, i w oczach jej, które spoczywały nieruchomo na twarzy Wereniki, czytał pożerającą zazdrość. To przeszkadzało mu w mówieniu; powstało w nim uczucie graniczące z pogardą.

— Ta-ak — rzekła dziewczyna przeciągle — to tak rzecz się ma! A co? Czy botanika jest zajmującą nauką?

— Hm! Widzicie, nauki musi się osądzać ze stanowiska korzyści, jaką przynoszą ludzkości — objaśniał wzdychając.

Brak wykształcenia przy jej piękności potęgował w nim litość nad nią. A ona, uderzając w zamyśleniu łyżeczką o brzeg filiżanki, zapytała go:

— A jakążto korzyść może przynieść, że wiecie, jak łośnian rośnie?

— Tę samą, którą mamy, studyując zjawiska życiowe człowieka.

— Człowiek i łośnian!... — zauważyła z uśmiechem. — Alboż każdy poszczególny człowiek żyje, jak wszyscy?

Dziwił się, że ta niezajmująca rozmowa nie męczyła go wcale.

— Czy ja jem i piję tak, jak chłopci? — dodała, ściągając poważnie brwi. — A czy wielu żyje tak, jak ja?

— A jakże wy żyjecie? — zapytał, przeczuwając, że pytanie to zmieni temat rozmowy, a zależało mu na tem, gdyż wzrok siostry zwrócony na Warenikę przybrał złośliwy i szydlerczy charakter.

— Jak ja żyję? — zapytała dziewczyna, zapalając się nagle. — Dobrze! — i przymrużyła aż oczy z zadowolenia. — Wiecie, budzę się rano, i gdy dzień jest słoneczny, to wpadam odrazu w strasznie wesoły nastrój! Tak, jakby mi coś drogiego i pięknego darowano, coś, czego już od dawna

pragnęłam... biegnę się kąpać — nasza rzeka ma wodę źródlaną — woda jest zimna, że aż tnie! Są tam głębokie miejsca, a ja się właśnie tam zrzucaam z brzegu głową na dół — buch!... Jakbyś się spalił... wpadasz w wodę jak w przepaść, a w głowie szumi, wynurzasz się, wyskakujesz z wody, a słońce patrzy na ciebie i śmieje się! Potem idę lasem do domu, zrywam kwiaty, wdycham powietrze leśne do nieprzytomności, przychodzę do domu, herbata gotowa, piję herbatę a przedemną stoją kwiaty — a słońce patrzy na mnie... Ach! gdybyście wiedzieli, jak ja kocham słońce! Potem zaczyna się dzień a z nim zajęcia gospodarskie... u nas wszyscy mnie lubią, w okamgnieniu mnie rozumieją i słuchają... i wszystko się obraca w kółko, aż do wieczora... potem słońce zachodzi, wschodzą księżyc i gwiazdy... jakie to wszystko jest piękne! jakie zawsze nowe! Rozumiecie? Ja tego nie umiem określić... dlaczego to jest tak pięknie — żyć... ale może wy to czujecie sami, tak?... Przecież to wam zrozumiałe, dlaczego życie jest takie piękne, takie zajmujące?

— Tak... zapewne! — przytakiwał... Najchętniej spłoszyłby ręką złośliwy uśmiech z oblicza swojej siostry.

Spojrzał w stronę Wareniki i nie przestawał podziwiać, jak ona drżała z pragnienia udzielenia mu siły tej radości, która całą jej istotę napełniała

entuzjazmem. Ale ta ekstaza spotęgowała tylko jego litość nad nią aż do uczucia ostrego... bólu...

Widział przed sobą stworzenie upite wspaniałością naturalnego swego życia, pełne grubej poezyi, lecz niewyszlachetnione duchem.

— A zima! Lubicie zimę? Jest całkiem białą, rzeźką, wyzywającą, jak gdyby zapraszała do walki...

Przeraźliwe dzwonienie przerwało jej; to Elżbieta Sergejewna dzwoniła, a gdy duża dziewczka z okrągłą, dobroduszną twarzą i filuternemi oczyma wleciała do pokoju, rzekła zmęczonym głosem:

— Sprzątnijcie, Maszo, naczynie!

Poczem tamta zaczęła się ostrożnie zwijać po pokoju, szurując głośno nogami.

To wszystko młodą dziewczynę nieco otrzeźwiło; wstrząsnęła ramionami, jak gdyby chciała z nich coś strząsnąć i nieco zakłopotana zapytała Hipolita Sergejewicza:

— Znudziłam was mojami opowiadaniem?

— Ależ proszę — protestował.

— Nie, istotnie, mieliście mnie za głupią? — nalegała.

— Ale czemużby? — wołał Hipolit Sergejewicz, dziwiąc się sam pozorowi ciepła i szczerości, z jakimi te słowa wymawiał.

— Jestem dzika... to znaczy... niewykształcona... — usprawiedliwiała się. — Ale cieszę się, że z wami mówię... boście taki uczony i taki... nie taki, jakim sobie was wyobrażałam...

— Jakżeście to sobie mnie wyobrażali? — zapytał z uśmiechem.

— Myślałam, że będziecie zawsze same jakieś mądrości wygłaszać... dlaczego i jak... to nie jest takie... a to jest właśnie takie... a wszyscy inni są głupcy i tylko ja jestem mądry... Ojca odwiedził raz kolega, także pułkownik jak ojciec i także uczony, jak wy... Ale to był wojskowy uczony... jak się to nazywa?... Jeden ze sztabu generalnego... i był okropnie nadęty... Mojem zdaniem on nawet wogóle nic nie wiedział; całkiem po prostu renomował tylko.

— Więc i o mnie urobiliście sobie takie wyobrażenie? — zapytał Hipolit Sergejewicz.

Ona zmieszała się, spiekła raka i zrywając się z krzesła, zaczęła komicznie uganiać się po pokoju i rzekła zakłopotana:

— Ach! gdzież wy... gdzieżbym ja coś takiego!...

— No, słuchajcie, drogie dzieci — rzekła Elżbieta Sergejewna, mrużąc podstępnie oczy — ja muszę się zająć gospodarstwem a was poruczam Boskiej Opiece.

I znikła, śmiejąc się i szeleszcząc sukniami.

Hipolit Sergejewicz ścigał ją spojrzeniem pełnem wyrzutu i pomyślał, że właściwie należałoby z nią pomówić o sposobie jej zachowania się wobec tego pocziwego w gruncie rzeczy i ładnego, ale nierozwiniętego młodego dziewczęcia.

— Wiecie co!... Chcecie wiosłować? Pojedziemy do lasu, pójdziemy tam na spacer, a do obiadu będziemy z powrotem! Zgoda? Jestem okropnie uradowana, że dzisiaj taki słoneczny dzień i że nie jestem w domu... Tacie znowu dokucza podagra, więc musiałabym się nim zajmować. Tato jest kapryśny, kiedy chory.

Zdziwiony tym otwartym, szczerym egoizmem, nie odpowiedział zaraz, a kiedy przyzwolił, przypomniał sobie powzięte wczoraj postanowienie, z którym i dziś rano pokój był opuścił. Ale na razie nie daje ona żadnej podstawy do podejrzenia, jakoby pragnęła serce jego zdobyć. W jej słowach leży wszystko inne niżli kokieterya... A wreszcie — dlaczego nie miałby spędzić jednego dnia w towarzystwie tak, bądź co bądź, oryginalnej dziewczyny?

— Umiecie wiosłować?... Żle!... To nic nie szkodzi, ja to sama zrobię; łódź jest lekka. Chodźmy!

Wyszli na taras i zstąpili do parku.

Przy jego długiej i szczupłej figurze wydawała się mniejszą i cięższą.

Podał jej ramię, ale ona nie przyjęła go:

— Po co? To jest dobre, gdy się jest znużonym, zresztą przeszkadza tylko w chodzie. 7-8118d2

Uśmiechnięty spojrzał na nią przez okulary i szedł, stosując się do jej kroków. Podobało mu się to bardzo.

Chód miała lekki i zręczny. Biała suknia owiewała jej postać. Żaden fałd się nie poruszał.

W jednej ręce trzymała parasolkę, drugą gestykulowała pięknie, opisując mu malownicze wioski. Ruch jej obnażonego do łokcia ramienia, które silne, brunatne, okryte było złocistym puszkciem, zmuszał Hipolita Sergejewicza, by mu uważnie wzrokiem towarzyszył. I znów gdzieś w głębi duszy drżał mu ów niewyjaśniony niepochwytny niepokój. Usiłował go przemódz, pytając się, co go skłaniało do towarzyszenia tej dziewczynie — i odpowiadał sobie: ciekawość, spokojne i czyste pragnienie podziwiania jej piękności.

— Oto jest rzeka! Idźcie i siadajcie do łodzi; ja wezmę wiosła!

I znikła za drzewami, jeszcze zanim zdołał spytać, gdzieby mógł wiosła znaleźć.

W nieruchomej, zimnej wodzie rzeki zwierciadliły się drzewa, szczytami obrócone na dół.

Wsiadł do łodzi i przypatrywał się im...

Te upiorne obrazy piękniejsze były i okazalsze niżli żywe drzewa u brzegu stojące i ocieniające wodę swymi rosochatymi, sękatymi konarami. Odzwierciadlanie wyszlachetniało je, zacierało brzydotę i z mizernego motywu, okaleczając z biegiem czasu rzeczywistości, stwarzało w głębi wód jasne, szarmonizowane fantastyczne obrazy...

Hipolit Sergejewicz pogrążył się w oglądaniu tego upiornego obrazu.

Głęboka cisza, uświęcona jaśnieniem chłodnego słońca porannego, otaczała go dokoła. Ssał powietrze, pełne szczęścia rozśpiewanych radośnie skowronków; czuł, jak go nawiedzał nowy, błogi spokój, jak mu pieszczotliwie ujmował ducha i zmuszał do milczenia jego wieczną, buntowniczą dążność do zbadania i wyjaśniania wszystkiego.

Panowała dookoła uroczysta cisza...

Żaden liść na drzewie nie drgnął, a w tej cichości dokonywało się nieznużenie nieme misterium natury... bezgłośnie stwarzało się życie... rażone nieustannie śmiercią — jednak nieprzewyciężalne... I zwolna prowadziła śmierć swe dzieło dalej, niszcząc wszystko — a nie odnosząc zwycięstwa... A w górze jaśniało niezmacone niebo w spokojnej piękności...

Na głębokiem tle obrazu, we wodzie potoku, zjawiała się piękna, biała postać kobieca, z przyjaznym uśmiechem na twarzy... Stała tam z wioślami w rękę, jakby nęciła go ku sobie; milcząca, promiennie piękna, zdawała się kędyś z nieba odzwierciedlać.

Hipolit Sergejewicz wiedział, że to była Warenika, która przyszła z parku, i czuł, że nań patrzy; ale nie chciał się słowem albo ruchem odebrać od czaru...

— Powiedzcie tylko! Co z was za marzyciel! — zabrzmiało w powietrzu zdziwione wołanie.

Odwrócił się od wody z żalem i spojrzał na

dziewczyne, która elastycznie stromą ścieżką zstępowała ku brzegowi. I żal jego znikł; bo ta dziewczyna była w rzeczywistości czarująco piękną.

— Trudnoby doprawdy uwierzyć, że lubicie marzyć! Macie takie surowe, poważne oblicze!... Będziecie sterować? dobrze? Pojedziemy w górę — tam jest piękniej... i wogóle jest bardziej zajmujące, płynąć przeciw prądowi, bo się przy tem wiosłuje, porusza — człowiek czuje się...

Zepchnięta z brzegu łódź zaczęła się kołysać na uśpionych wodach, ale jedno silne uderzenie wiosłami wprowadziło ją wnet w kierunku równoległy do brzegu i chwiejąc się to w tę, to w ową stronę, z drugim uderzeniem wiosła pośliznęła się lekko naprzód.

— Pojedziemy wzdłuż pagórków nadbrzeżnych; tam więcej cienia — rzekła dziewczyna, dzieląc wody zręcznymi uderzeniami.

— Ale tu jest słaby prąd!... Za to na Dnieprze — ciocia Łuczycka ma tam dobra — tam, powiadam, jest straszno! Tam ster się ustawicznie z rąk wyrywa... Widzieliście progi Dnieprowe?

— Nie, jeszcze nie wychylałem się za *progi* domu — rzekł Hipolit Sergejewicz, siłąc się na dowcip.

— A ja wskroś przejechałam — rzekła, śmiejąc się. — To było pięknie... Raz omal, że się łódź nie roztrzaskała... Byłabym wtedy na pewno utonęła...

— O, to było-by wcale pięknie — rzekł Hipolit Sergejewicz poważnie.

— A czemu? Ja się zupełnie nie boję śmierci, chociaż kocham życie... Może i tam jest zajmująco, jak na ziemi...

— A może tam nic nie ma? — rzekł, patrząc na nią ciekawie.

— Jakże to jest możliwe? — wołała z przekonaniem.

— Pewnie tam coś musi być! — Postanowił jej nie przeszkadzać. Niech sobie filozofuje! W stosownej chwili przerwie jej i zmusi, by przed nim otworzyła ubogi światek swoich wyobrażeń.

Siedziała naprzeciw niego, opierając drobne nóżki o deskę, przygwożdżoną do dna łodzi, i z każdym uderzeniem wiosła, pochylała ciało wstecz, wówczas pod lekką materią jej sukni odcinała się plastycznie jej dziewicza, wzniesiona, elastyczna pierś drżąca przy każdym poruszeniu.

Nie nosi gorsetu — pomyślał Hipolit Sergejewicz, spuszczać oczy; zatrzymał je wszakże na jej nóżkach, które wpierały się w dno łodzi tak, że się przy każdym poruszeniu napinały muszkuły i widać było kontury nóg do kolan.

Niech to kaczką! Czy ona umyślnie tę głupią suknię włożyła? pomyślał rozdrażniony i odwrócił się, patrząc na wysoki brzeg.

Opodal parku płynęli wzdłuż stromego brzegu. Zwieszały się grochowe pnące, dynie z aksami-

tnymi swymi liśćmi i duże, żółte kręgi słoneczników, stojące u skraju spadzistego stoku, spoglądały w wodę.

Brzeg drugi, niski i poziomy, rozciągał się daleko, aż ku zielonym ścianom lasu, okryty z gęstą świetlistą zielenią soczystej, świeżej trawy, z której wyzierały jasno- i ciemno-niebieskie kwiatki, jak dziecięce oczka...

A tuż przed łodzią wznosił się ciemno-zielony las; a rzeka wrzynała się weń, jak kawał zimnej stali.

— Czy wam gorąco? — zapytała Warenika. On spojrzał na nią i czuł, że się zmieszał.

Na jej czole pod wieńcem włnistych włosów perliły się krople potu, a pierś wznosiła się i opadała.

— Wybaczcie — mówił z żalem — byłem całkiem zatopiony w rozmyślaniu... Wy zmęczeni... Dajcież mi przecież wiosło!

— Wcale nie zamyślam. Sądźcie, żem zmęczona? To nawet obraza dla mnie. Nie ujechaliśmy jeszcze dwóch wiorst. Nie, siedźcie spokojnie. Zaraz przystaniemy i pójdziemy na spacer.

Widać było z jej miny, że opór byłby zbyt teczny; wzruszył gniewliwie ramionami i siedział niezadowolony, w milczącym zamyśleniu.

— Ma mnie zdaje się, za niedołęgę...

— Widzicie, oto droga do nas — rzekła, wskazując ruchem głowy ku brzegowi. — Tu jest bród

w rzece, a stąd jeszcze czternaście wiorst do nas. U nas jest także ładnie, ładniej niż w waszej Półkanówce.

— Czy i zimę przepędzacie na wsi? — spytał.

— Jakże? — Ja przecież prowadzę całe gospodarstwo; tato nie opuszcza fotelu... Toczy się go przez pokoje...

— Ale nudne musi być takie życie.

— Czemużby? Mam bardzo dużo do czynienia, a tylko jednego pomocnika, Nikona, pachółka taty. Stary już jest i również pije, ale straszny atleta i rozumie się na rzeczy. Chłopi boją się go... on bije ich, a oni go raz też porządnie potłukli... strasznie! Jest niezwykle pocciwy i mnie i tacie bardzo wierny... Kocha nas, jak pies... Ja go także lubię. Czytaliście może romans, w którym bohater, arabski oficer, hrabia Louis Grammon, ma też pachółka Sadi-Koko?

— Nie czytałem — wyrzekł skromnie młody uczony.

— Proszę go bezwarunkowo przeczytać, to jest dobra powieść — radziła mu z głębokim przekonaniem — ja też nazywam Nikona, kiedy jestem z niego zadowolona, Sadi-Koko. Z początku gniewał się o to, ale raz mu ten romans odczytałam, to on już teraz wie, że podobieństwo do Sadi-Koka jest dla niego bardzo pochlebne.

Hipolit Sergejewicz spoglądał na nią tak, jak Europejczyk ogląda pięknie wykonczony, ale fan-

tastycznie brzydki posążek Chińczyka, z odcieniem zdumienia, litości i zainteresowania. — A ona opowiadała mu z zapalem o bohaterskich czynach Sadi-Koka, pełnego ślepej uległości wobec hrabiego Louis'a Grammon'a.

— Przepraszam, Barbaro Wasyliwno — przerwał — a czytaliście jakie powieści rosyjskich autorów?

— O tak! Ale ja ich nie lubię! Są nudni, strasznie nudni! A piszą zawsze takie historye. które ja sama również dobrze znam, jak oni. Nie umieją nic zajmującego wymyślić, i zawsze prawie znajduje się u nich tylko prawdę.

— A czyż wy prawdy nie lubicie? — zapytał Hipolit Sergijewicz miękko.

— Ach, ależ nie! Ja mówię każdemu prawdę w oczy i... umilkła, namyśliła się i zapytała:

— Bo i cóż się w tem może podobać? To jest mój zwyczaj — więc ma mi się to podobać?

Nie miał czasu na odpowiedź, bo zakomenderowała szybko i donośnie:

— Skierujcie na lewo!... Prędzej! Tu, do tego dębu!... Ach, jakaż niezręczność!

Łódź odmówiła jęgo ręce posłuszeństwa i przybiła całą swą szerokością do brzegu, chociaż z wysiłkiem wiosłem wodę mącił.

— Nie szkodzi, nie szkodzi — rzekła, zerwała się nagle i przeskoczyła krawędź łodzi.

Hipolit Sergejewicz wydał głuchy okrzyk, odrzucił precz wiosło i wyciągnął za nią rękę.

Ale ona stała nieuszkodzona na brzegu, łańcuch łodzi w ręce dzierżąc i spytała go, jakoby czując się winną:

— Czym was przestraszyła?

— Myślałem, że wpadniecie w wodę — odparł cicho.

— Alboż można tutaj upaść? Zresztą tu nie głęboko! — usprawiedliwiała się, spuszczać oczy, i ciągnęła łódź na brzeg.

On zaś siedział u steru i myślał, że sam to właściwie winienby uczynić.

— Patrzcie, co za las! — zawołała, gdy na brzeg wystąpił i zbliżył się do niej. — Przecież taki śliczny! Tam w okolicy Petersburga są także takie ładne lasy?

Leżała przed nimi wązka droga, otoczona po obu stronach rozmaitymi gatunkami drzew.

Pod stopami ich sklepiły się sękate korzenie, zgniecione kółmi wiejskich wozów; nad nimi namiot gałęzi i gdzieś wysoko w górze błękitne strzępy nieba.

Promienie słońca, cienkie jak struny, zadrżały w powietrzu, przecinając na wskroś zieloną wązka drożynę.

Zapach zgniłych liści, grzybów i jodeł nużył ich. Ptastwo pierzchało na wsze strony, klóćąc uroczysty spokój lasu swym ożywionym śpiewem

i gorliwym świergotem. Kędyś dzieciół pukał, brzęczała pszczoła i dwa motyle, goniąc się wzajemnie, nadleciały, jakby chciały im pokazać drogę.

Szli wolno; Hipolit Sergejewicz milczał; nie chciał przeszkadzać Warenice w jej poszukiwaniu za słowami dla wyrażenia swoich myśli; a ona przemówiła do niego z zapalem:

— Nie lubię czytać o chłopach. Cóż w ich życiu może być zajmującego? Znam ich, ja z nimi żyję. Co się o nich pisze, nie jest słusznem, nie jest prawdą. Przedstawia się ich tak politowania godnymi — są po prostu tylko niktzemni; wcale ich żałować nie należy. Chcą tylko jednej rzeczy: oszukać kogoś i okraść. Zawsze żebrzą... są wstrętnei, brudni... i oni są tymi mądrymi... O, są nawet bardzo podstępni; jak oni mnie czasem męczą, gdybyście tylko wiedzieli! — Rozgrzała się teraz, a twarz jej wyrażała gniew i nudę. Widać było, że chłopci odgrywają wielką rolę w jej życiu; mówiąc o nich, dawała się aż unieść nienawiści! Hipolit Sergejewicz był zdumiony siłą jej wzburzenia. Nie chcąc się wszakże dłużej tym wycieczkom »pana« przysłuchiwać, przerwał jej:

— Mówiliście o francuskich pisarzach.

— Ach, tak! To jest o rosyjskich — poprawiła go, uspokajając się. — Pytacie, czemu rosyjscy gorzej piszą? — To jasne! — Bo nie umieją wymyślić nic ciekawego. U Francuzów bohaterowie są rzeczywistymi bohaterami; nawet nie mó-

wią tak jak wszyscy ludzie, i inaczej postępują. Zawsze są dzielni, zakochani, weseli... A u nas bohaterowie są pospolitymi ludźmi, bez odwagi, bez ognistych uczuć; tacy szkaradni, nędzni, całkiem zwykli ludzie i nie więcej! Czemu oni są bohaterami? Tego w rosyjskiej książce nigdy nie można zrozumieć. Rosyjski bohater jest głupi taki, taki workowaty, wszystko mu zawsze uprzykrzone, zawsze łamie sobie głowę nad czemś niezrozumiałem i nad wszystkimi ubolewa, a sam jest ubolewania godzien, aż nadto ubolewania godzien... Duma, mru-knie coś, oświadczy się z miłością, potem znowu дума, aż nareszcie się ożeni... a skoro się już ożenił, nagada żonie kwaśnych głupstw i porzuca ją... Co w tem zajmującego? Mnie to nawet złości; bo to właściwie jest oszustwo! Zamiast bohatera sterczy zawsze w powieści straszydło na wróble! Czytając rosyjską książkę, nie zapomina się nigdy o rzeczywistem życiu, czy to dobrze tak? Ale gdy się czyta francuską książkę, to się drży o bohatera, nienawidzi się, odczuwa się chęć bitwy, gdy oni się biją! płacze się, gdy oni giną! Gorączkowo wyczekuje się końca powieści, a gdy się ją przeczytało, płacze się ze żalu, że to już jest koniec... Tam się żyje, a w książkach rosyjskich jest zupełnie niepojęte, poco ludzie w ogólności żyją? I na co to pisać książki, jeśli się nie ma nic nadzwyczajnego do powiedzenia! Dziwne, naprawdę!

— Dużoby się na to dało odpowiedzieć, Bar-

baro Wasyljewno — przerwał burzliwy potok jej słów.

— No, proszę odpowiedzieć! — rzekła, uśmiechając się łaskawie. — Jużto pewnie mnie zniszczycie.

— Spróbuję. Przedewszystkiem, jakich rosyjskich pisarzy czytaliście?

— Rozmaitych... Nie wszyscy zresztą są jednacy... Naprzykład Saljas... Ten naśladuje Francuzów, ale kiepsko. Ma on zresztą także rosyjskich bohaterów. Ale czyż można o nich zajmująco pisać? Czytałam wielu innych... Mozdowzewa, Markiewicza, Pasuszyna... Wyglądacie tak, jak gdyby wam już imię mówiło, że oni nic dobrego nie mogą napisać. Czyście nic z nich nie czytali? A czytaliście Fortuneta de Bona-gobey'a? Pincon'a de Terraille'a, Arcène'a de Hausset'a, Pierre'a Sacconnez'a, Dumas'a, Gabo-riot'a, Borne'a? Jak cudnie! mój Boże! Zaraz... Wiecie co? Mnie w romansach podobają się najwięcej rozbójnicy, którzy tak zręcznie tyle podstępnych sideł zarzucają, mordują, trują... mądrzy są i silni... a jak się ich w końcu złapie, to mnie gniew porywa, to aż do łez mnie doprowadza... Wszyscy nienawidzą złoczyńcy, wszyscy przeciw niemu są — on jeden przeciw wszystkim! To jest bohater! A tamci inni, ci cnotliwi, stają się wstrętnymi, kiedy zwyciężają! A zwłaszcza, wiecie! Mnie podobają się ludzie, jak długo czegoś energicznie chcą, ku czemuś zmierzają, dążą, cierpią... Ale gdy

są u celu i stają na miejscu, to już nie są zajmujący... Nawet banalni!

Podniecona i prawdopodobnie dumna na to, co powiedziała, szła powolnym krokiem przy jego boku, z pięknie wzniesioną głową i iskrzącymi się oczyma.

On patrzył jej w twarz i nerwowo bródkę skubiąc, szukał za słowami, któreby ją odrazu uwolniły od tej grubej zasłony kurzu, która jej ducha osłaniała. Czuł się obowiązany, coś jej odpowiedzieć; ale chciał jeszcze słuchać jej naiwnej, oryginalnej paplaniny, chciał jeszcze widzieć, jak uniesiona swymi poglądami z zaufaniem mu duszę swoją odkrywała. Nigdy nie słyszał takiej mowy; była w jego oczach wstrętna i niemożliwa; ale równocześnie wszystko, co mówiła, zgadzało się w zupełności z jej pięknnością drapieżnego zwierzęcia. Widział przed sobą nieoszlifowany umysł, który go obrażał swą grubą pospolitością — i czarującą piękną kobietę, która drażniła jego zmysły. Te obie elementarne potęgi napierały nań z całą mocą swej bezpośredniości. Trzeba im było koniecznie coś opornego przeciwstawić, bo w przeciwnym razie czuł, że potrafią go wyprowadzić ze zwykłego toru jego poglądów i nastrojów, w którym aż do spotkania się z nią żył spokojnie. Miał jasną logikę i debatował łatwo z ludźmi swojej sfery. Ale jak z nią mówić i co jej powiedzieć, aby umysł jej sprowadzić na właściwą drogę i uszla-

chetnić jej duszę, okaleczała przez głupie romanse, przez towarzystwo chłopów i ojca, żołnierza-opoja?

— Uf! jak ja dużo gadałam! — zawołała, odetchnąwszy. — Musiałam was już znudzić, tak?

— Ależ nie...

— Ja — widzicie — bardzo się wami cieszę. Przed waszem przybyciem nie miałam nikogo, z kimbym mogła mówić. Siostra wasza mnie lubi; wiem o tem; ale jest ze mnie zawsze niezadowolona... prawdopodobnie dlatego, że ojcu daję wódkę i że biłam Nikona...

— Wy?! I bili? Ee.. jakżeście to uczynili? — zawołał zdumiony.

— Całkiem poprostu, — wychłostałam go knutem taty; to wszystko! Była właśnie — rozumiecie — pora młócenia i strasznie potrzebowano pracy, a on, to bydlę, upił się. Czyż on ma prawo upić się, gdy praca nad karkiem i wszędzie potrzeba jego oka? Ci chłopci, oni...

— Ale słuchajcież, Barbaro Wasiljewna — zaczął przekonywująco i, jak mógł, najłagodniej — czyż się godzi bić parobka? Czy to szlachetnie? Proszę tylko rozważyć! Czyż i owi bohaterowie, przed którymi się korzycie, biją poddanych swoich... Sadi-Koko?

— Oho! i jeszcze jak! — Hrabia Louis Grammon wymierzył raz policzek Kokowi, że mi aż żal było biednego żołnierzyka. A cóż ja mogę z nimi zrobić, jeśli nie bić? To jeszcze dobrze, że potra-

fię. Przecież jestem silna! Spróbujcie, jakie mam muszkuły!

Zgięła ramię, trzymając je z dumą. On położył na nie rękę, powyżej łokcia, i ścisnął mocno palcami; ale natychmiast opamiętał się, rozglądnął się zmieszany i zarumienił się. Dokoła stały nieme drzewa i tylko...

W ogólności nie był on wobec kobiet skromny; ale ona doprowadziła go do tego przez swoją prostotę i ufność, jakkolwiek rozdmuchała w nim uczucie, które było niebezpieczne dla niego samego.

— Posiadacie podziwienia godne zdrowie — rzekł, przypatrując się bacznie jej małej, opalonej ręce, która skubała fałdeczki na sukni przy piersi, — i sądzę, że macie bardzo dobre serce, — wymknęło mu się mimowoli.

— Ja nie wiem! — odparła potrząsając głową — zaledwie — ja nie mam charakteru; czasem lituję się nad ludźmi, nawet jeśli ich nie lubię.

— Czasem tylko? — rzekł z uśmiechem. — Przecież oni zawsze są litości godni; zawsze godni pożałowania.

— Dlaczegożby? — zapytała również uśmiechnięta.

— Czyż nie widzicie, jacy oni nieszczęśliwi? Nawet ci wasi chłopci; jak ciężkie jest ich życie, ile niesprawiedliwości, trosk i udręczeń muszą w swoim życiu doznać!

Wypowiedział to z zapalem, a ona uważnie w twarz mu spoglądała.

— Już to z was z pewnością bardzo dobry człowiek, skoro tak mówicie. Ale wy przecież chłopów nie znacie, nigdyście nie żyli na wsi... Nie-szczęśliwi oni są, to prawda, ale kto im winien? Są przebiegli, i nikt im nie przeszkadza, aby się uczynili szczęśliwymi.

— Ależ oni przecież nawet chlebanie mają do syta.

— No tak! Ale patrzcie, ile ich jest!

— Tak, jest ich wiele... ale ziemi jest też dużo... bo są ludzie, którzy posiadają dziesiątki tysięcy desjetyn¹⁾. Wy n. p. ile macie?

— Pięćset siedmdziesiąt trzy... No i cóż? Czy im oddać?... Ale słuchajcież!... Jak to jest możliwe?

Patrzyła na niego wzrokiem, jakim dorosły człowiek spogląda na dziecko, i śmiała się po cichu. Śmiech ten mieszał go i martwił; on-to rozdmuchał w nim pragnienie przekonania jej, jak błędnie myśli.

I w urywanych, prawie ostrych słowach zaczął mówić o niesprawiedliwym podziale dóbr, o nieprawości większej części ludzi, o fatalnej walce o byt, o kęs chleba; o potędze bogatych i bezsilności ubogich; o rozumie, przewodniku życia, uciśkanym od stuleci przez fałsz i ciemnotę przesądów, z korzyścią dla silnej mniejszości..

¹⁾ 1 desjetyna = 2400 kwadratowych sążni.

Ona szła obok niego w milczeniu i patrzyła nań z ciekawością i zdumieniem.

Dokoła nich panowała mroczna cisza leśna, cisza, po przez którą głos przechodzi, nie kłócąc bynajmniej melancholijnej jej harmonii. Liście osiki drżały nerwowo, jak gdyby drzewo oczekiwało jakiejś rzeczy zdawna utęsknionej...

— Jest to obowiązkiem każdego uczciwego człowieka — mówił Hipolit Sergejewicz przekonywująco — cały swój rozsądek, całą duszę swoją poświęcić walce w obronie uciśnionych, w obronie ich prawa do życia; dokładać starań, by albo udareźnienia walki tej ukrócić, albo przebieg jej przyspieszyć. Tu potrzeba prawdziwego bohaterstwa — i właśnie w tej walce szukać go należy. Gdzieindziej żadnego bohaterstwa niema. Jedynie bohaterowie tych zapasów są godni podziwienia i naśladowania... a wy, Barbaro Wasyljewna, winniście właśnie tu uwagę swoją zwrócić, tu szukać bohaterów, tu poświęcać swoje siły... Z was — sądzę — mogłaby być przedziwnie stoicka rzeczniczka prawdy; ale — przedewszystkiem musielibyście wiele czytać i uczyć się rozumieć życie bez upiększeń fantazyi... Wszystkie te głupie romansidła w piec należy rzucić...

Umilkł zmęczony długim wykładem, otarł pot z czoła i czekał, co powie.

Ona z przymrużonemi oczyma patrzyła w dal;

a na twarzy jej drżały cienie... Długie milczenie przerwał jej przytłumiony okrzyk:

— Jak ślicznie mówicie! Czy to możliwe, aby wszyscy na uniwersytecie mogli tak mówić?

Młody uczony westchnął beznadziejnie, a oczekiwanie odpowiedzi przemieniło się w nim w głuchość niechęć ku niej i litość nad sobą samym. Czemu ona nie pojęła tego, co dla każdej, tylko trochę myślącej istoty, było tak logicznie jasne? Czego jego mowom nie dostaje, że nie poruszyły jej uczuć?

— Bardzo pięknie mówicie — wzdychała, nie czekając na jego odpowiedź. A w oczach jej czytał szczery zachwyt.

— Ale czy ja też słusznie mówię? — spytał.

— Nie — odrzekła bez namysłu. — Choć jesteście uczonym, będę się sprzeczała z wami! I ja coś z tego rozumiem! Mówicie tak, jak gdyby ludzie dom budowali, a wszyscy przy tej robocie byli sobie równi; i to nie tylko oni, ale wszystko! cegły, murarze, drzewo i właściciel domu... — Według was wszystko to jest sobie równe — ale czyż to możliwe? Chłop, musi pracować; wy, musicie uczyć; a gubernator wszystkiego doglądać, czy każdy czyni, co potrzeba... A potem powiedzieliście, że życie jest walką... Gdzie to widzicie? Przeciwnie; ludzie wszyscy żyją tak zgodnie; a jeśli rzeczywiście jest walka, to muszą być i zwyciężeni. Ale co o ogólnym pożytku mówicie, tego już całkiem nie

rozumem. Mówicie, że ogólny pożytek polega na równouprawnieniu ludzi; ale to nie słuszne: mój tato jest pułkownikiem, jakże on może równać się z takim Nikonem albo chłopem? A wy, wy jesteście uczonym; ale czyż stoicie na równi z naszym nauczycielem języka rosyjskiego, który pił wódkę, był rudy i głupi, a nos czyścił z hałasem jak blaszana trąba! Aha!

Uważała swoje argumenta za niezbite i tryumfowała. A on zachwycił się jej radosnem uniesieniem i był zadowolony ze siebie, że jej tę radość sprawił.

Ale umysł jego usiłował dociec, dlaczego myśl, którą w niej obudził, a której przecież nie poddała żadnej analizie, pracowała w niej właśnie w przeciwnym kierunku, niż pragnął.

— Wy mi się podobacie, a inny nie podobają mi się! — gdzie tu jest równouprawnienie?

— Podobam się wam? — spytał Hipolit Sergejewicz z mimowolnem ożywieniem.

— Tak... bardzo... — rzekła, potakując głową, i spytała zaraz potem: No i co?

Przeraziła go ta bezdenna naiwność, która patrzyła nań jasnem spojrzeniem.

— Czyż to możliwe, aby to był jej sposób kokietowania? — myślał. Ona przecież dość naczynała się romansów, by siebie jako kobietę rozumieć...

— Czemu pytacie? — nalegała, wzrokiem pełnym ciekawości w twarz mu patrząc.

— Dlaczego? — spytał, wzruszając ramionami — To zresztą, sędzę, przecież naturalne — rzekł jak najspokojniej. — Wy jesteście kobietą — ja mężczyzną.

— To i cóż? Dlatego przecież nie musicie wiedzieć; przecież nie macie zamiaru żenić się ze mną.

Rzekła to z taką prostotą, że się odpowiedzią tą nie zdumiał nawet. Zdawało mu się tylko, że nieznana jakaś siła, z którą ze względu na ślepą, żywiołową moc jej daremna byłaby walka, przerzuca pracę jego mózgu w odmienny kierunek.

I z odcieniem kokieteryjnej figlarności rzekł:

— Kto wie?... Bo przecież — jak to zapewne wiecie — chęć podobania się i chęć poślubienia — to jest jedno i to samo.

Roześmiała się na to nagle; śmiech jej natychmiast go otrzeźwił, i w duchu potępiał ją i siebie.

Piers jej falowała od serdecznego i zdrowego śmiechu, wstrząsającego powietrze swem wesołym brzmieniem, a on milczał i w poczuciu winy czekał, jak się odetnie za ten żart niesmaczny.

— Ach! no! jakąż by to... jakąż by też ja żoną dla was była! Umrzeć można ze śmiechu! jak strus i pszczoła! Cha, cha, cha!

I on też zaczął się śmiać, nie z jej komicznego porównania, ale ze swojej niemożności zrozumienia sprężyn kierujących poruszeniami jej duszy.

— Miłe z was dziewczę! — wymknęło mu się szczerze.

— Dajcie mi też waszą rękę... Idziecie tak powoli, powłokę was. Czas już powrócić, o najwyższy czas już! Uganiamy się już ze cztery godziny po tym spacerze, a Elżbieta Sergejewna będzie niezadowolona, żeśmy się spóźnili na obiad.

I zabrali się do powrotu.

Hipolit Sergejewicz uważał to za swój obowiązek, powrócić jeszcze do wyjaśnienia jej błędów, które mu nie pozwalały czuć się przy niej tak swobodnym, jakby pragnął. Ale przedewszystkiem musiałby w sobie zagłuszyć ten niejasny niepokój, który w nim nurtował głucho i niweczył jego postanowienia spokojnego słuchania i energicznego odpierania jej dowodów. Byłoby mu tak łatwo zimną logiką swego rozumowania wyciąć brzydką narośl jej mózgu, gdyby mu w tem nie przeszkadzało to dziwne, ubezwładniające uczucie, dla którego nie miał nazwy.

Cóż-by to być mogło? Było to podobne pragnieniu nie wprowadzania w świat idei tej dziewczyny żadnych obcych jej pojęć... Ale takie odstąpienie od swego obowiązku byłoby wstydem dla człowieka, który jak stoik trwał przy swych zasadach. A za takiego się uważał. Był głęboko przekonany o sile rozumu i jego przewadze nad uczuciem.

— Dziś wtorek? — spytała Warenika. Naturalnie. Więc za trzy dni przyjedzie czarny paniczek...

— Kto przyjedzie? i dokąd?

— Czarny paniczyk, Beńkowski, przyjedzie do nas w sobotę wieczorem.

— Po co?

Ona wybuchła śmiechem, spoglądając nań ciekawie.

— Chyba nie wiecie? on jest urzędnikiem...

— A! tak, siostra mówiła o nim...

— Mówiła? — spytała Warenika ożywiona...
No i cóż? Powiedźcie! wkrótce się zaślubią?

— Jakto? a pocóżby mieli się zaślubiać? zaślubiać? zapytał bezmyślnie.

— Po co? — zawołała Warenika zdumiona.

— No, ja nie wiem. Ależ bo to tak przyjęte. No, mój Boże, nie wiedzieliście nic o tem?

— Nic nie wiem! — rzekł Hipolit Sergejewicz stanowczo.

— A ja wam to powiedziałam! — zawołała zrozpaczona. — A, to nie złe! Ach, proszę was, drogi Hipolicie Sergejewiczu, zachowujcie się, jakbyście nic nie wiedzieli... jak gdybym wam nic nie powiedziała!

— Dobrze, dobrze! Ależ proszę was, ja też istotnie nic nie wiem. Jedną tylko rzecz pojąłem, siostra moja chce wyjść za pana Beńkowskiego... czy tak?

— No tak! to znaczy — jeśli ona sama nic wam o tem nie mówiła... to może i nic z tego nie będzie. Ale wy o tem nic jej nie powiecie?

— Z pewnością, że nie powiem. Przyjechałem

tu na pogrzeb, a trafiłem — jak się zdaje — na wesele!? To przyjemne!

— Proszę ani słowa o weselu! — błagała. — Wy nic nie wiecie.

— Całkiem słusznie. Lecz któż to taki, ten Beńkowski? Jeśli wolno spytać...

— O to wolno. To jest sobie — czarny, słodki, cichy paniczek; ma oczęta, wąsiki, usteczka, rączki i skrzypeczki; lubi tkliwe pioseneczki i konfiturki. Taką mam zawsze ochotę przetrzepać go trochę po gębusi.

— Jak widzę — niebardzo wam jest miły! — zawołał Hipolit Sergejewicz. Odczuwał litość dla p. Beńkowskiego, wobec tak poniżającej charakterystyki jego powierzchowności.

— On mnie też nie lubi... ja, ja małych, słodziutkich, skromnych mężczyzn znieść nie mogę. Mężczyzna powinien być wysoki i silny! mówić głośno, mieć duże, ogniste oczy, być śmiałym w uczuciach, nie cofać się przed żadnymi przeszkodami. Zechce — i zrobi! Oto jest mężczyzna!

— Zdaje mi się, że takich mężczyzn już nie ma — rzekł oschle uśmiechając się Hipolit Sergejewicz. Czuł, że ten ideał mężczyzny jemu jest przeciwny, i to go drażniło.

— Muszą być! — zawołała stanowczo.

— Ależ bo wy Barbaro Wasyljewna; prawdziwe zwierzę opisali! Cóż jest pociągającego w takim potworze?

— Wcale nie zwierzę — silnego mężczyznę! Siła — oto, co pociąga! Dzisiejsi mężczyźni rodzą się już z reumatyzmem, z kaszlem i rozmaitemi dolegliwościami. — To dobre? Czyż byłoby mi to przyjemnie, mieć na przykład za męża jakiegoś pana z czerwonymi krostami na twarzy, jak starosta Kokowicz? Albo ładnego paniczka jak Beńkowski? Albo garbatego i chudego jak tyka, jak komisarz sądowy Muchin? Albo Griszę Czarnobowa, syna kupca, wielkiego, tłustego, dychawicznego, z łysiną na głowie i rudym zarostem? Jakie dzieci można mieć z takimi mężami? Przecież o tem trzeba pomyśleć. — Jakże? Dzieci — to przecież bardzo ważne. A mężczyźni wcale o tem nie myślą! Nic nie kochają i nie zdadzą się też na nic! ja... jabym takiego męża biła, gdybym za niego wyszła!

Hipolit Sergejewicz przerwał jej, starając się ją przekonać, że jej zdanie o mężczyznach wogóle nie jest słuszne, bo ona zna za mało ludzi. A tych, których wymieniła, nie powinno się oceniać tylko z powierzchowności.

— To jest niesłuszne! Człowiek może posiadać brzydki nos, ale dobre serce, krosty na twarzy — ale jasny rozsądek.

Wydawało mu się i nudne i trudne to wypowiadanie tych zasadniczych prawd. Aż do czasu jej spotkania tak rzadko przypominał sobie ich istnienie, że teraz jemu samemu wydały się one

jakieś zbutwiałe, zużyte... Czuł, że się to wszystko jej nie chwyta, i że ona nic z tego w sobie nie przyjmie...

— Oto już rzeka! — zawołała radośnie, przerywając mu.

A Hipolit Sergejewicz myślał:

— Cieszy się, że przestaje mówić.

I znów płynęli rzeką, siedząc naprzeciwko siebie.

Warenika znów chwyciła wiosła i wiosłowała z pośpiechem i siłą. Niezadowolona woda mruczała pod łodzią, drobne fale pomykały ku brzegom.

Hipolit Sergejewicz spoglądał na brzegi, jak się podnoszą na spotkanie łodzi i czuł się zmęczonym tem wszystkiem, co podczas tej wycieczki słyszał i widział.

— Patrzcie, jak szybko łódka się posuwa! — zawołała Warenika.

— Tak — odparł krótko, nie zwracając na nią oczu; ale i nie widząc jej, wyobrażał sobie, jak ponętnie skłania się jej ciało, jak się uwodząco pierś jej wznosi i opada...

Park się ukazał...

Po chwili szli jego aleją, a na ich spotkanie wyszła smukła postać Elżbiety Sergejewny. Znaczący uśmiech igrał jej na ustach, w ręku miała jakieś papiery i rzekła:

— A toście sobie urządzili spacer!

— Długi? Za to mam taki apetyt, że — uh! zjem cię!

I Warenika, ujawszy wpoł Elżbietę Sergejewną,

lekko zawinęła nią wokoło, śmiejąc się wesoło z jej krzyku.

Obiad był niesmacznie przyrządzony i zeszedł nudnie. Warenika była zupełnie zajęta procesem nasycania się i milczała, a Elżbieta Sergejewna dręczyła brata swojemi badawczemi spojrzeniami, które spoczywały na jego obliczu.

Zaraz po obiedzie Warenika odjechała do domu, a Hipolit Sergejewicz odszedł do swego pokoju, położył się na otomanie i zaczął rozmyślać, zbierając wrażenia dnia. Przywodził na pamięć najdrobniejsze szczegóły z przechadzki i czuł, jak się z nich tworzy mętny osad burzący wrodzoną mu, nigdy nie zachwianą równowagę między uczuciem a myślą.

Ten nowy stan swego usposobienia odczuwał nawet fizycznie w formie dziwnego ciężaru, który tłoczył go i serce mu ścisnął; było to, jak gdyby krew w jego żyłach gęstniała i krążyła powolniej, niż zwykle.

Stan ten był podobny do uczucia zmęczenia, budzącego w nim skłonność do marzycielstwa i był jakby przygrywką do jakiegoś nieskrystalizowanego jeszcze pragnienia. A nieprzyjemny był mu tylko dlatego, że pozostawał uczuciem bezimiennem pomimo wszelkich jego usiłowań, by jakimś mianem go określić.

— Trzeba poczekać z analizą, aż osad zupełnie się zsiędzie... — zdecydował.

Ale równocześnie ovladnęło nim uczucie gryzącego niezadowolenia ze siebie samego; wyrzucał sobie, że utracił zdolność panowania nad swojemi uczuciami i że jego dzisiejsze zachowanie się nie było godne poważnego męża. Na osobności wszakże był zawsze stateczniejszym i surowszym względem siebie, niż w obecności innych. I zaczął siebie samego analizować starannie.

Że ta dziewczyna jest odurzająco piękna — nie da się zaprzeczyć; lecz odrazu za jej pierwszym spotkaniem, wplątać się w mistyczne koło tych nieokreślonych wrażeń — to jest za wiele dla niej, a dla niego — wstyd! Bo to zdradza brak pohamowania się, rozwieżłość.

Ona silnie pobudza zmysłowość — to prawda; ale przeciw temu trzeba walczyć.

— Lecz czy trzeba? — zapłonęła w nim nagle krótka i kłująca myśl.

Zmarszczył czoło i zajął wobec tego pytania takie stanowisko, jakby mu je kto inny zadał. W każdym razie to, co się w nim teraz dzieje, nie jest początkiem przykuwania się do kobiety, jest to raczej protest rozumu, dotkniętego kolizją; nie wyszedł z niej zwycięsko, chociaż przeciwnik jego był dziecięco słaby. Należało z tą dziewczyną mówić obrazowo; widoczna bowiem, że ona żadnych logicznych dowodów nie pojmuje. Jest jego obowiązkiem, wykorzenić jej surowe pojęcia, rozwiać fantazyę, które mózg jej wchłonał, Musi się

z jej umysłu wyrwać wszystkie te błędne wyobrażenia, jej duszę oczyścić i uwolnić; wtedy dopiero stanie się ona zdolną do przyjęcia i rozwijania w sobie prawdy.

— Mogęż ja to uczynić? — zbudziła się w nim znowu inna myśl. I znów pytanie to ominało... Jak ona się rozwijać będzie, gdy znajdzie przystęp do niej coś nowego i coś wręcz przeciwnego wewnętrznej jej istocie?

I zdawało mu się, że skoro dusza jej oswobodzona z niewoli błędów przejmie się zharmonizowaną nauką wolną od wszelkich niejasności i przesądów — dziewczyna ta stanie się podwójnie piękna.

Gdy go zawołano do herbaty, miał już silne postanowienie przekształcenia jej świata, czyniąc sobie z tego postanowienia swój rzeczywisty obowiązek; teraz będzie wobec niej spokojny i chłodny i swemu postępowaniu z nią nada charakter surowej krytyki wszystkich słów jej i postępów.

— No, jakże ci się podoba Warenika? — spytała go siostra, kiedy stanął na tarasie.

— Całkiem miłe dziewczę — odrzekł, podnosząc brwi.

— Tak? Sądzisz?... Ja myślałam, że ciebie zrazi jej brak rozwoju umysłowego.

— Przyznać muszę, że jestem nieco zdumiony tą cechą jej istoty — rzekł — ale szczerze mówiąc, pod wielu względami przewyższa inne bardziej rozwinięte dziewczęta, które tem się chełpią.

— Tak, jest piękna... i dobra partya... Pięćset desjetyn doskonałego gruntu, około sto desjetyn lasu budowlanego; a po śmierci swojej ciotki odziedziczy jeszcze piękne dobra. I obydwaj majątki wolne są od hipoteki.

Zauważył, że siostra go umyślnie nie zrozumiała, nie chciał jednak zdawać sobie sprawy z tego, dlaczego ona to uważa za stosowne.

— Z tego punktu widzenia ja na nią nie patrzę — rzekł.

— Więc czyni to... doradzam ci tego seryo.

— Dziękuję.

— Zdaje się, że jesteś cośkolwiek źle usposobiony? .

— Przeciwnie. Dlaczego pytasz?

— Tak. Chcę to wiedzieć, jako troskliwa siostra.

Uśmiechnęła się słodko i z przymileniem. Uśmiech ten przywiódł mu na pamięć myśl o Beńkowskim i uśmiechnął się również.

— Dlaczego śmiesz się? — zapytała.

— A ty?

— Wesoło mi.

— Mnie także wesoło, chociaż nie pochowałem żony przed dwoma tygodniami, — rzekł śmiejąc się.

Lecz ona przyjęła poważną minę i westchnęła.

— Ty może czynisz mi wyrzuty w duchu za ten brak uczucia dla mego męża nieboszczyka i sądzisz, że jestem egoistką? Ale Hipolicie, nie

wiesz, jakim był mój mąż; pisałam ci, jak z nim żyłam, i nieraz myślałam: mój Boże miałabym być stworzona tylko na to, aby zaspokajać niszkie żądze Mikołaja Stefanowicza Woropajewa, który tak dalece się zapijał, że nawet nie umiał odróżniać żony od prostej dziewczki wiejskiej lub ulicznicy?

— Czy być może?... — zapytał Hipolit Sergejewicz niedowierzająco.

Przypominał sobie jej listy, w których wiele mówiła o braku charakteru męża, o jego nałogowym pijaństwie, o jego lenistwie i wszelkich możliwych przywarach — prócz rozwiozłości.

— Wątpisz o tem? — zapytała go z wyrzutem i westchnęła. — A przecież to jest fakt; bywał często w takim stanie... nie mogę twierdzić, że mnie zdradzał, lecz mam pewne przypuszczenia. Bo czyż mógł rozróżniać, czy miał przed sobą mnie, czy inną, skoro brał okno za drzwi? Tak... i tak żyłam lata całe...

Mówiła długo i nudnie o swoim smutnem życiu; a on słuchał i czekał, kiedy mu to powie, co mu właściwie ma do powiedzenia. I mimowoli pomyślał, że Warenika nigdyby się na swoje życie nie żaliła, jakkolwiek onoby się ułożyło.

— Zdaje mi się, że los powinien mi wynagrodzić te długie lata nieszczęść. Być może, że ta nagroda jest blizka.

Elżbieta Sergejewna umilkła, spojrzała badawczo na brata i okryła się lekkim rumieńcem.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — Zapytał, skłaniając się ku niej łagodnie.

— Bo widzisz — ja może... znowu wyjdę za mąż...

— I doskonale uczynisz! Winszuję... Lecz czegoś taka zmieniona?

— Doprawdy, nie wiem.

— Któż to taki?

— Zdaje mi się, że ci o nim mówiłam... Beńkowski... Przyszły prokurator... a tymczasem — poeta i marzyciel... Może spotykałeś się już z jego poezyami? On drukuje...

— Poezyi nie czytuję. Czy to dobry człowiek? Zresztą — naturalnie dobry.

— Jestem za nadto rozsądną, by nie powiedzieć stanowczo: tak. Zdaje mi się jednak, że, nie łudząc się sama, mogę powiedzieć, iż on będzie zdolnym wynagrodzić mi przeszłość... Kocha mnie... Wyrobiłam sobie sama małą filozofię; być może, że ona wyda ci się nieco za surową.

— Filozofuj tylko śmiało, to teraz w modzie — rzekł Hipolit Sergejewicz żartobliwie.

— Mężczyźni i kobiety — to dwie wiecznie ze sobą wojujące rasy — mówiła miękkim głosem kobieta. — Zaufanie, przyjaźń i inne tego rodzaju uczucia są prawie że niemożliwe między mną a mężczyzną. Ale możliwa jest miłość... A miłość

jest zwycięstwem mniej kochającego nad tym, który więcej kocha... Raz mnie zwyciężono i zapłaciłam za to... A teraz ja zwyciężyłam i skorzystam z owoców zwycięstwa...

— A to dość okrutna filozofia! — przerwał jej Hipolit Sergejewicz, rozmyślając z przyjemnością nad tem, że Warenika nie potrafiłaby tak filozofować.

— Życie ją we mnie wyrobiło... Widzisz on o cztery lata młodszy odemnie, dopiero co ukończył uniwersytet. Wiem, że to dla mnie nie jest zbyt bezpieczne... i — jakby to wyrazić?... Chciałabym się tak urządzić, aby moje prawa majątkowe nie były narażone na niepewność.

— Tak... no i co? — pytał Hipolit Sergejewicz, słuchając uważnie.

— Poradźże mi, jakby to wszystko urządzić; nie chciałabym mu dać żadnych praw do mego majątku... i radabym mu i do osoby mojej żadnych praw nie dać, gdyby to było możliwe...

— To jest, zdaje mi się, osiągalne w małżeństwie cywilnem... Zresztą...

— Nie, małżeństwa cywilnego nie pochwalam. Spojrzał na nią i myślał z uczuciem wstrętu:

— Przecież jest rafinowana! Jeśli Bóg w istocie ludzi stworzył, to życie tak łatwo ich przetwarzają, że mu już zapewne dawno stali się wstrętnymi.

A siostra rozwijała przed nim swój pogląd na małżeństwo w przekonywującym tonie:

— Małżeństwo powinno być rozumną ugodą wykluczającą wszelkie ryzyko. Tak też właśnie zamyslałam ułożyć sprawę z Beńkowskim. Zanim jednak uczynię ten krok, chciałabym zbadać prawne pretensye tego miłego szwagierka. Przejrzyj proszę cię wszystkie te papiery.

— Pozwolisz, że się tą sprawą zajmę jutro? — spytał.

— Naturalnie, kiedy zechcesz. — Długo jeszcze rozwijała przed nim swoje idee, potem opowiadała mu wiele o Beńkowskim. Mówiła o nim pobłaźliwie z uśmiechem błakającym się na ustach i przy-mrużając oczy. Hipolit Sergejewicz słuchał i dziwił się sam brakowi wszelkiego zainteresowania się dla jej spraw i współczucia dla jej losu.

Słońce już zaszło, kiedy się rozeszli; on, znu-dzony nią, udał się do swego pokoju, a ona, oży-wiona rozmową, z wyrazem pewności siebie w roz-jaśnionym wzroku udała się do zajęć gospodar-skich.

Wszedłszy do swego pokoju, zaświecił Hipolit Sergejewicz lampę, wydobyl książkę i wziął się do czytania, lecz już przy pierwszej stronicy poznał, że mu niemniej przyjemnie będzie książkę zamknąć. I przeciągając się wygodnie, zamknął ją i starał się zająć wygodną pozycję w fotelu; fotel jednak był twardy, poszedł więc i położył się na otomanie.

Z początku nie myślał o niczem; potem przypomniał sobie z niezadowoleniem, że trzeba się będzie wkrótce zaznajomić z panem Beńkowskim i w tej chwili uśmiechnął się, przypomniawszy sobie, jak tego pana scharakteryzowała Warenika.

Po chwili była ona jedyną, która zajęła jego myśl i wyobraźnię.

Miedzy innemi przyszło mu na myśl: A cóż, gdyby tak ożenić się z takim miłym potworkiem? To byłaby sobie całkiem ciekawa żona... chociażby już dlatego, że nie usłyszałoby się z jej ust zdawkowej mądrości popularnych książek...

Rozpatrzywszy jednak ze wszystkich stron swoje położenie w charakterze męża Wareniki, roześmiał się na głos i odpowiedział sobie sam kategorycznie.

— Nigdy!

I w tejże chwili — posmutniał.

* * *

Ranek sobotni rozpoczął się dla Hipolita Sergejewicza małą nieprzyjemnością: ubierając się, stracił ze stołu lampę, która rozleciała się w drobne kawałki, a kilka kropel nafty padło na jeden z jego trzewików, których jeszcze nie wzuł. Trzewiki naturalnie oczyszczono, ale Hipolitowi Sergejewiczowi zdawało się, że herbata, chleb, masło a nawet pięknie ufryzowane włosy siostry wydzielają nieprzyjemną woń nafty.

Psuło mu to humor.

— Ściągnij buciki i postaw je na słońce, to nafta wyparuje — radziła mu siostra — a tymczasem włóż pantofle męża, są jeszcze całkiem nowe.

— Proszę cię, nie sobie z tego nie rób, to zaraz przejdzie.

— Nie potrzebujesz przecie czekać, aż to przejdzie. Doprawdy każę przynieść pantofle.

— Nie, nie potrzeba. Wyrzuć je!

— A to czemu? Pantofle są ładne, z aksamitu... przydadzą się jeszcze.

Zachciało mu się sprzeczkę; nafta drażniła go.

— Na cóż ci się przydadzą? Przecież nie będzie ich nosiła!

— Ja, naturalnie nie, ale Aleksander.

— Któż to taki?

— A Beńkowski.

— Aha! — zaśmiał się sucho. — Ta wierność dla pantofli twego męża jest nadwyczaj wzruszająca... I praktyczna.

— Jesteś dziś złośliwy?

Spojrzała na niego nieco urażona, ale bardzo badawczo. On pochwycił ten wyraz jej oczu i pomyślał wrogo:

— Zapewne wmawia w siebie, że jestem rozdrażniony nieobecnością Wareniki.

— Na obiad prawdopodobnie przyjedzie Beńkowski — odezwała się po chwili milczenia.

— Ciesz się mnie bardzo, — odrzekł, myśląc w duchu: — Życzy sobie, abym był uprzejmy wobec przyszłego szwagra.

I rozdrażnienie jego wzmagало się przykrem uczuciem nudów. Elżbieta Sergejewna mówiła dalej, powlekając mu troskliwie chleb cieniutką warstwą masła:

— Być praktycznym, to podług mego zdania, jeszcze bardzo chwalebny przymiot, szczególnie w naszych czasach, kiedy brzemię nędzy tak uciska nas, żyjących z płodów ziemi. Dlaczegożby Beńkowski nie miał nosić pantofli mego męża?...

— A nawet i suknie pośmiertne, jeżeliś je z niego zdjęła i przechowała — pomyślał złośliwie Hipolit Sergejewicz zajęty gorliwie przelewaniem śmietanki z dzbanka do swojej szklanki.

— Wogóle pozostała po moim mężu bardzo bogata i przyzwoita garderoba. A Beńkowski nie jest rozpieszczony. Przecież ty wiesz, co to za liczna rodzina. Trzech chłopców, oprócz Aleksandra, i pięć młodych dziewcząt. A majątek ich w formie hipotek już może dziesięć razy zastawiony. Wiesz — ja bardzo korzystnie kupiłam u nich bibliotekę; są tam nader cenne rzeczy. Przypatrz im się kiedy, może znajdziesz tam i coś pożytecznego dla siebie... Aleksander żyje z bardzo nędznej pensyi.

— Czy ty go już oddawna znasz? — zapytał

Hipolit Sergejewicz; musiał mówić o Benkowskim, jakkolwiek wogóle nie miał ochoty do rozmowy.

— W ogólności — mniej więcej cztery lata... a tak... bliżej — z siedm lub ośm miesięcy. Zobaczysz — on jest bardzo miły. Bardzo wrażliwy — łatwo się ożywia... idealista — i troszkę, zdaje się, dekadent. Zresztą cała młodzież teraz skłania się do dekadentyzmu... Jedni popadają w idealizm, drudzy w materyalizm.. I jedni i drudzy nie wydają mi się mądrymi.

— Są jeszcze ludzie głoszący sceptycyzm o sile stu koni, jak to mój kolega zwykł coś podobnego nazywać — oświadczył Hipolit Sergejewicz, pochylając głowę nad stołem.

Roześmiała się i rzekła:

— To dowcipne, chociaż trochę ciężkie. Ja może także jestem blizka sceptycyzmu; takiego — wiesz — zdrowego sceptycyzmu, który skrzydła wszelkim zwiążuje porywom... ten zdaje mi się być koniecznym dla... dla wyrobienia sobie racjonalnych poglądów na życie ludzkie.

Pospieszył się z wypiciem herbaty i oddalił się pod pozorem uporządkowania książek.

Ale w pokoju jego, choć drzwi stały otwarte, czuć było jeszcze naftę. Skrzywił się, wziął książkę i poszedł do parku.

— Tam, w ściśle spokrewnionem kole starych drzew, znękanych niepogodą i burzą, panowała melancholijna cisza obezwładniająca umysł; szedł

więc, nie otwierając książki, wzdłuż głównej alei, bez myśli i bez pragnienia.

A otóż rzeka i łódka. Tu widział Warenikę, jak woda ją odzwierciadlała — a była anielsko piękną w tem odzwierciadleniu.

— Nie, jestem prawdziwy gimnazjalista! — ozwało się w nim; czuł jednak, że wspomnienie Wareniki sprawia mu przyjemność.

Zatrzymał się chwilę nad rzeką, wstąpił do łodzi, usiadł w tyle i począł spoglądać na ów obraz w wodzie, który był równie piękny; ale dziś na przeżroczystem jego tle nie okazała się biała postać tego niezwykłego dziewczęcia. Połkanow zapalił sobie papierosa, ale zaraz rzucił go do wody, myśląc, że nie szczególnie mądrze zrobił, przyjeżdżając tutaj. Bo w rzeczy samej, po co go tu było trzeba? Zdaje się, że tylko po to, aby bronił dobrego imienia swojej siostry, czyli mówiąc prościej, aby siostrze dać możność przyjmowania u siebie pana Beńkowskiego bez naruszenia przyzwoitości. Ta rola jest właściwie niezbyt ważna... A ten Beńkowski nie bardzo musi być mądry, jeśli naprawdę kocha jego siostrę, która już jest prze-mądra.

Przesiedziawszy tak trzy godziny prawie na dumaniach w jakimś rozemdleńiu myśli, ślizgającej się po przedmiotach bez jasnego wyobrażania sobie ich, wstał i powoli wracał do domu, zniechęcony do siebie za ten zmarnowany czas i po-

stanowił sobie stanowczo, co prędzej zabrać się do pracy.

Zbliżając się do tarasu, zobaczył smukłego młodzieńca w białej bluzie przepasanej ozdobnym rzemieniem.

Młodzieniec stał zwrócony plecami do alei i przyglądał się czemuś pochylony nad stołem. Hipolit Sergejewicz zwolnił kroku i zastanawiał się, czy to nie jest Beńkowski. W tem młodzieniec wyprostował się, pięknym ruchem odrzucił w tył długie fale czarnych włosów i zwrócił się ku alei.

— Ależ to paż średniowieczny! — zawołał do siebie Hipolit Sergejewicz.

Beńkowski miał oblicze owalne, matowo blade i jakby zmęczone nateżonym blaskiem dużych czarnych oczu w kształcie migdałów, osadzonych głęboko w oczodołach. Pięknie wykrojone usta ocieniały małe czarne wąsiki, a sklepione czoło występowało plastycznie z pod niedbale rozburzonych kędziorów. Wzrostu był małego, nieco mu do średniego niedostawało; ale jego gibka postać prawidłowo i estetycznie zbudowana uzupełniała brak ten. Spojrzał na Hipolita Sergejewicza wzrokiem krótkowidza, a w bladym jego obliczu było coś bardzo sympatycznego, ale i chorobliwego. W birecie i aksamitnym kaftanie wyglądałby rzeczywiście jak paż, który zstąpił z obrazu średniowiecznego dworu.

— Beńkowski! — rzekł stłumionym głosem do Hipolita Sergejewicza, który właśnie wstępował na

stopnie tarasu i podał mu białą rękę o długich palcach muzyka. Młody uczony ścisnął mu mocno rękę. Chwilę milczeli obaj zakłopotani, poczem Hipolit Sergejewicz zaczął rozprawiać o piękności parku. Młodzieniec odpowiadał krótko, dbając widocznie tylko o zachowanie grzeczności, bez okazywania towarzyszowi jakiegokolwiek zajęcia się rozmową.

Wkrótce nadeszła Elżbieta Sergejewna w wolnej białej sukni z czarnym koronkowym kołnierzykiem przepasana długim czarnym sznurem z frendzelkami na końcach. Strój ten odpowiadał w zupełności jej spokojnemu obliczu i nadawał jej delikatnym regularnym rysom wyraz jakiejś wyniosłości. Na licach jej igrał lekki rumieniec radości, a chłodne oczy spoglądały z ożywieniem.

— Zaraz będziemy jedli obiad! — zapowiedziała. — Poczęstuję was lodami. A wy, Aleksandrze Piotrowiczu, czegoście tacy zadumani? A prawda, nie zapomnieliście Szuberta?

— Przywiozłem i Szuberta i książki — odparł, patrząc jej w oczy z nietajoną czułością.

Hipolit Sergejewicz zauważył wyraz jego twarzy — i zrobiło się mu nieco głupio, że ten miły młodzieniec postanowił sobie widocznie, nie zwracać wcale uwagi na jego istnienie.

— Doskonale! — zawołała Elżbieta Sergejewna do Beńkowskiego. — Zagramy razem po obiedzie!

— Jeśli pozwolicie... — i skłonił się lekko.

Było w jego ruchu wiele gracyi, ale to nie przeszkadzało Hipolitowi Sergejewiczowi, aby się uśmiechnąć w duchu.

— Pozwolę, pozwolę — wołała siostra kokieteryjnie.

— A lubicie Szuberta? — zapytał Hipolit Sergejewicz.

— Nade wszystkich Betowena, Szekspira muzyki — odparł Beńkowski, zwracając się do niego profilem.

Hipolit Sergejewicz słyszał był i przedtem, że się Betowena nazywa Szekspirem muzyki, ale różnica pomiędzy Betowenem a Szubertem była dla niego jedną z tych tajemnic, które nie interesowały go wcale. Interesował go jednak ten młodziniec, więc spytał poważnie:

— Dlaczego stawiacie Betowena ponad wszystkich?

— Bo jest większym idealistą, niż wszyscy inni twórcy muzyki razem wzięci.

— Tak? I wy uważacie ten światopogląd za słuszny?

— Bezwątpienia. I wiem, że jesteście skrajnym materyalistą, czytałem wasze prace — oświadczył Beńkowski, a oczy dziwnie mu błysnęły.

— Chce się sprzeczać — pomyślał Hipolit Sergejewicz. — Ale to miły chłopaczek, prawy i święcie uczciwy.

I rosła jego sympatya dla tego idealisty skazanego na noszenie pantofli nieboszczyka.

— Czy to znaczy, że jesteśmy przeciwnikami? — zapytał z uśmiechem.

— Jakże możemy być przyjaciółmi?! — zawołał Beńkowski z zapalem.

— Moi panowie! — zawołała Elżbieta Sergejewna z pokoju. — Proszę nie zapominać, żeście się dopiero poznali!

Pokojówka Masza nakrywała do stołu, pobrzękując talerzami, i z ukosa zerkając na Beńkowskiego; w oczach jej malował się naiwny zachwyt.

Hipolit Sergejewicz przypatrywał mu się równie, myśląc, że z tym młodzieńcem należy postępować z niezwykłą delikatnością i że byłoby rzeczą pożądaną, unikać »ideowych« rozmów: bo w sporze-by się niezawodnie uniósł do szaleństwa.

Lecz Beńkowski spoglądał na niego z zapalczywym blaskiem w oczach i nerwowem drżeniem twarzy; pragnął, widać, namiętnie wdać się z nim w rozmowę i z trudem tylko tłumił to pragnienie. Hipolit Sergejewicz postanowił wszakże nie przekraczać granic czysto formalnej grzeczności...

Siostra jego siedziała już za stołem i z roztropną swobodą rzucała to temu, to owemu nieznaczące pytania w żartobliwym tonie. Oni odpowiadali krótko: jeden z familiarną niedbałością krewnego, drugi z uszanowaniem zakochanego.

A wszyscy troje czuli się jakoś nieswoi, skrepowani, co pobudzało każdego do obserwowania drugich i siebie samego.

Masza niosła pierwsze danie.

— Moi panowie, proszę pozwolić! — zapraszała Elżbieta Sergejewna, uzbrajając się w stołową łyżkę.

— Czy mogę służyć wódką?

— Ja piję! — rzekł Hipolit Sergejewicz.

— Ja nie, za pozwoleniem — powiedział Beńkowski.

— Pozwalam i chętnie. Lecz zresztą pijecie?

— Nie chcę.

— Tracić się z materyalistą — pomyślał Hipolit Sergejewicz.

Smaczna zupa, czy też poprawne zachowanie się Hipolita Sergejewicza ostudziły i ułagodziły groźny blask czarnych oczu Beńkowskiego, i gdy wniesiono drugie danie, odezwał się:

— Być może, że wyzywajacem wydawało się wam oświadczenie moje na wasze zapytanie, czy jesteśmy nieprzyjaciółmi; może i niegrzeczne; ale jestem tego zdania, że ludzie we wzajemnym stosunku do siebie powinni być wolni od tej powszechnej reguły konwencyonalnego kłamstwa.

— Zgadzam się w zupełności — rzekł Hipolit Sergejewicz z uśmiechem. — Im prościej, tem lepiej. A wasze otwarte wyznanie tylko mi się podobało, że się tak wyrażę.

Beńkowski smutno się uśmiechnął i odparł:

— W sferze idei — jesteśmy istotnie nieprzyjaciółmi. Powiedzieliście: im prościej, tem lepiej — ja tak samo sądzę, lecz ja tym słowom nadaje jedno znaczenie, wy drugie...

— Istotnie? — zapytał Hipolit Sergejewicz.

— Bezwątpienia, jeśli tylko pójdziecie prostą drogą logiki ze stanowiska wyłożonych w waszej rozprawie poglądów.

— To ja naturalnie czynię.

— Otóż widzicie. A z mego stanowiska wasze pojęcie o prostocie jest grube... Ale zostawmy to... Powiedzcie mi, proszę, jeżeli sobie życie wyobrażacie tylko jako mechanizm, który wyrabia wszystko, zatem i idee — jak możecie nie odczuwać tego wewnętrznego zimna i jak to jest możliwe, aby w duszy waszej nie tliła choćby iskierka litości dla tego wszystkiego, co jest tajemnicze i tak czarująco-piękne, a co wy sprowadzacie do zwykłego procesu chemicznego, do przemiany materii?

— Hm... Tego zimna ja nie czuję, bo wiem jakie zajmuję miejsce w tym wielkim mechanizmie życia, który poetyczniejszy jest niż wszystkie fantazje. A co się tyczy metafizycznych konfliktów uczucia i rozumu, to, jak wiecie, jest rzeczą upodobania. Dotąd nie wie jeszcze nikt, co to jest piękno; w każdym razie należy przyjąć, że to jest wrażenie fizjologiczne.

Jeden mówił głosem stłumionym, pełnym, serdecznych, smętnych tonów żalu nad błędami

przeciwnika; drugi — spokojnie, z poczuciem wyższości umysłowej, unikając wyrażen, które mogłyby obrazić miłość własną przeciwnika, a które się tak często dają zwykle słyszeć, gdy spiera się z sobą dwóch porządných ludzi, czyja prawda bliższa prawdy...

Elżbieta Sergejewna z delikatnym uśmiechem śledziła grę ich fizyonomii, spokojnie i starannie ogryzając kosteczki.

Masza wyglądała z poza drzwi, starała się widocznie zrozumieć, o czem państwo rozmawiali, bo na twarzy jej widać było naprężenie, a oczy stały się okrągłemi i straciły zwykły wyraz chytrości i dobroduszości.

— Powiadacie — rzeczywistość; ale czemże ona jest, gdy wszystko wokoło nas i my sami jesteśmy tylko bezustanną pracą pierwiastków chemicznych i mechanizmem? Wszędzie ruch i wszystko ruchem; ani setna część sekundy spokojem. Jakże ja rzeczywistość pojme, jak pochwyce, skoro ja sam w każdej obecnej chwili nie jestem tem, czem byłem, ani tem, czem w następnej chwili będę? Wy, ja, my — nic — tylko materya! Lecz kiedyś będziemy leżeli pod wizerunkami świętych, napełniając powietrze wstrętnymi wyziewami zgnilizny... Pozostaną po nas na ziemi może tylko zblakłe fotografie, które nigdy nikomu nie opowiedzą rozkoszy i męki naszego życia, bo niepamięć nas pochłonie... Czyż nie przejmują zgrozą ta wiara, że

my wszyscy, którzy myślimy i cierpimy, po to tylko żyjemy, aby zgnieć?

Hipolit Sergejewicz przysłuchiwał się uważnie jego słowom i myślał w duchu: Gdybyś ty był przekonany, że twoja wiara jest prawdą, byłbyś spokojniejszy. Ale ty krzyczysz. I nie z tego powodu, bratku krzyczysz, żeś idealista, tylko dlatego, że masz kiepskie nerwy.

A Beńkowski patrzył mu w twarz płomiennym wzrokiem i wciąż mówił dalej:

— Powiadacie: wiedza — bardzo dobrze! Korzę się przed nią, jako potężnem dążeniem ducha do zerwania więzów oplątującej mnie tajni... Lecz przy jej świetle widzę się na tem samem miejscu tylko, gdzie niegdyś stał i mój antenat, który wierzył niezachwianie, że grzmi z łaski proroka Eliasza... Ja w Eliasza nie wierzę — ja wiem: To działanie elektryczności, ale o ile to zjawisko zrozumialsze dla mnie niżli dla Eliasza? Czy o tyle, że jest bardziej skomplikowane? Jest ono tak samo niewytlómaczalne, jak i ruch i wszystkie inne siły przyrody, które się daremnie usiłuje zastąpić jedyną prawdziwą. I dotychczas zdaje mi się, że istota wiedzy ogranicza się wyłącznie do skomplikowania pojęć — i nic więcej! Ja np. sądzę, że dobrze jest »wierzyć«; śmieją się ze mnie i mówią: nie trzeba wierzyć — trzeba wiedzieć! Więc chcę wiedzieć, co to jest materya, a mnie się na to dosłownie odpowiada: materya jest to zawartość

tego miejsca w przestrzeni, w którem upatrujemy przedmiot odebranych wrażeń. Poco tego gadania? Możnaż to dawać jako odpowiedź na moje pytanie? To szyderstwo z tego, kto namiętnie i szczerze szuka odpowiedzi na dręczące pytania swego ducha. Ja pragnę znać cel bytu — i tę tęsknotę mego ducha się wyszydza! Ale ja przecież żyję — a nie jest to rzecz łatwa; to daje mi niezłomne prawo do domagania się od »monopolistów rozumu« odpowiedzi: na co ja żyję!

Hipolit Sergejewicz z powagą spoglądał na palającą od wzburzenia twarz Beńkowskiego i rozumiał, że temu młodzieńcowi należałoby odpowiedzieć słowami, w którychby jak w jego słowach leżała cała moc bez pohamowania wybuchającego uczucia. Lecz mimo tego przekonania odczuwał chęć obalenia jego poglądów. A duże oczy poety powiększyły się — — gorzała w nich namiętna tęsknota... Dyszał — a wąta, biała dłoń jego prawicy migiała w powietrzu, to kureczowo w pięść zwinięta, to jakby coś w przestrzennej próżni chwytająca — lecz bez siły chwytu...

— Lecz jakże wiele wzięliście od życia, nie mu wzamian nie dając? Na to odpowiadacie z pogardą?... A w niej dźwięczy co? Niemożliwość dania przekonywującej odpowiedzi — a ponadto jeszcze wasza niezdolność współczuwania z ludźmi. Proszą was o chleb duchowy — a wy im dajecie kamień zaprzeczenia! Ograbiliście duszę życia, a jeśli już

w niej niema wielkich czynów miłości i cierpienia —
wyście temu winni; bo wy, niewolnicy rozumu,
poddaliście duszę jego władzy, więc ona wyziębla
i umiera chora i zbiedzona! A życie pozostało
równie ponure, a jego męki, jego nieszczęścia cze-
kają na bohaterów... Gdzie oni?

— Ależ to jakiś epileptyk — pomyślał Hipolit
Sergejewicz, wzdrygając się na widok tego kłębka
nerwów drżącego w tęsknem podnieceniu.

Próbował wstrzymać burzliwą swadę swego
przyszłego szwagra, ale nie miało to skutku, bo
porwany natchnieniem swego protestu młodzieniec
nie widział i nie słyszał. Długo zapewne nosił
w sobie już te żale, które teraz z duszy jego wy-
buchwały i był rad, że może je wylać przed jednym
z tych ludzi, którzy według jego mniemania ze-
psuli życie.

Elżbieta Sergejewna patrzyła nań z zachwytem,
mrużąc jasne oczy, w których zabłysła iskra zmy-
ślowego pożądania.

— We wszystkim tem, coście tak pięknie
i z taką siłą powiedzieli — zaczął Hipolit Serge-
jewicz umiarkowanie i życzliwie, korzystając z mi-
mowolnej przerwy z powodu zmęczenia mowcy
i pragnąc go uspokoić — we wszystkim tem dźwię-
czy bezsprzecznie wiele szczerego uczucia, wiele
badawczego ducha...

Cóżby mu powiedzieć takiego łagodzącego
i pojednawczego? — myślał z natężeniem, splatając

sieć komplementów. Ale wyręczyła go w tem trudnem położeniu siostra.

Nasycona już siedziała oparta na krześle. Ciemne jej włosy uczesane były staromodnie, ale fryzura ta w kształcie korony dostrajała się pięknie do królewskiego wyrazu jej oblicza. Jej usta rozchylone uśmiechem odsłaniały białe i wąskie szeregi zębów, niby ostrze noża.

Powstrzymując brata ruchem pełnym wdzięku, rzekła:

— Pozwólcie i mnie słówko. Znam zdanie pewnego mędrca, który tak głosi: Nie mają słuszności ci, co twierdzą: to jest prawda; ani ci, którzy odpowiadają: to kłamstwo. Słuszność ma tylko Zebaot (Pan zastępów) i tylko Szatan, w których istnienie nie wierzę, którzy jednak gdzieś tam istnieć muszą; bo oni-to tak dwoisto życie ukształtowali, a życie nadało im postać. Wy nie rozumiecie? A przecież mówię tym samym ludzkim językiem, co i wy; ja tylko całą mądrość wieków zamykam w jednym tem zdaniu, abyście widzieli nicość waszej mądrości.

Skończyła i z czarująco jasnym uśmiechem spytała:

— Jak to panowie znajdujecie?

Hipolit Sergejewicz wzruszył milcząco ramionami; słowa siostry oburzały go, ale był zadowolony, że uspokoiła tem Beńkowskiego.

A z Beńkowskim działo się coś szczególnego. Gdy Elżbieta Sergejewna zaczęła mówić, błysnął na twarzy jego zachwyt; ale za każdym jej słowem twarz jego stawała się bledsza, a w chwili, gdy czyniła swe pytanie, blizkie było wyrazu przerażenia. Chciał coś odpowiedzieć, usta zadrżały mu nerwowo, lecz żadne słowo z nich nie wyszło.

Ona zaś, wspaniała w swym spokoju, śledziła grę jego twarzy i prawdopodobnie rada była z tego wrażenia, jakie jej słowa wywarły na nim, bo oczy jej jaśniały radością.

— Mnie przynajmniej zdaje się, że w tych słowach rzeczywiście zawarta jest cała suma ogromnych foliałów filozofii — rzekła po krótkim milczeniu.

— Masz słuszość do pewnego stopnia — rzekł Hipolit Sergejewicz sarkastycznie uśmiechnięty — tylko przecież...

— Więc człowiek istotnie musi w sobie stłumić ostatnią iskrę prometejskiego ognia, tłącą jeszcze w duszy, uszlachetniając jego dążenia? — patrząc na nią z tęsknym żalem, zawołał Beńkowski.

— Poco? — odparła z uśmiechem — jeśli to wam daje coś pozytywnego... przyjemnego...

— Ty, zdaje się, bierzesz bardzo niebezpieczne kryterium dla określenia czegoś pozytywnego — zauważył brat sucho.

— Elżbieto Sergejewna, wy jesteście kobietą, powiedzcie: jakie oddźwięki budzi w waszej duszy

wielki ruch ideowy kobiet? — pytał z nowym zapalem Beńkowski.

— To zajmujące...

— Tylko?

— Ale ja sędzę, że... Jak to wam powiedzieć?... Są to porywy zbytecznych kobiet. Pozostały poza bramą życia, bądź to, że nie są przystojne, bądź też, że nie znają siły swojej piękności i nie odczuwają rozkoszy panowania nad mężczyzną... Są zbyteczne z całego szeregu przyczyn!... Ale trzeba jeść lody.

Milcząc wziął zieloną miseczkę z jej rąk i postawiwszy ją przed sobą, począł upornie spoglądać na białą, zimną masę, trąc nerwowo czoło ręką drżącą od powściąganego wzburzenia.

— Otóż widzicie, filozofia psuje nie tylko smak życia, ale i apetyt — żartowała Elżbieta Sergejewna.

A brat spoglądał na nią i myślał, że sobie wcale nie pięknie z tym chłopakiem igra. Cała ta rozmowa wywołała w nim uczucie budzących się nudów. Beńkowskiego żal mu było, ale żal ten pozbawiony był serdecznego ciepła i energii.

— *Sic visum Veneri!* — zakonkludował, wstając od stołu i zapalając papierosa.

— Zagramy? — zapytała Elżbieta Sergejewna Beńkowskiego. A kiedy on w odpowiedzi na jej zapytanie potakująco skłonił głowę, przeszli z tarasu do pokoju, skąd wkrótce rozeszły się tony pianina i dźwięki strojonych skrzypiec.

Hipolit Sergejewicz siedział w wygodnym fotelu przy balustradzie tarasu, chronionej przed słońcem jakby koronkową zasłoną dzikiego winogrodu, wijącego się od ziemi aż pod dach po naciągniętych sznurach, i słyszał wszystko, co mówiła siostra i Beńkowski; okna bowiem salonu osłonięte były tylko zielenią roślin i wychodziły na park.

— Czyście co w tych czasach napisali? — pytała Elżbieta Sergejewna, podając ton skrzypcom.

— Tak, drobnostkę.

— Proszę przeczytać!

— Doprawdy — nie mam ochoty.

— Chcecie, abym was prosiła?

— Czy chcę? Nie... Ale chciałbym wam wypowiedzieć te wiersze, które powstają we mnie właśnie teraz...

— Proszę bardzo!

— Dobrze, uczynię to. Lecz one tylko co powstały i wyście je powołali do życia...

— Jakże mi miło tego słuchać!

— Nie wiem... Być może, że mówicie szczerze... Nie wiem...

— Zapewne powinienbym się oddalić? — pomyślał Hipolit Sergejewicz. Lecz był za leniwym, by się ruszyć, więc został na miejscu, uspokajając się myślą, że oni prawdopodobnie wiedzą o jego obecności na tarasie.

Mnie twej piękności dręczą zimne blaski.—

zaczął Beńkowski deklamować, głos tłumiąc.

Ty może wydrwisz moich marzeń wzloty,
Może nie wierzysz żarom mej tęsknoty...

pytał tęskno młodzieniec.

— Boję się, czy już nie za późno dla ciebie
teraz o to pytać — pomyślał Hipolit Sergejewicz
z sceptycznym uśmiechem.

W twych oczach nie lśnią mi współczucia łaski...
Lodowy śmiech z twojego słowa wieje
I obce są ci mojej duszy dzieje,
Jej błędnych marzeń — — —

Beńkowski umilkł ze wzruszenia, czy też z braku rymu.

Mojej duszy upojne marzenie!
Ono miota się w wichrze mej pieśni,
Ono życie me kryje w swej cieśni,
Bo w niem płonie szalone pragnienie,
W tajne bytu by wedrzeć się cienie,
Wszystkim ludziom do szczęścia dać drogę...

— Trzeba odejść — zdecydował Hipolit Sergejewicz, doprowadzony do mimowolnego zerwania się temi histerycznymi kwileniami młodzieńca, w których brzmiały równocześnie: wzruszające pożegnanie spokoju swej duszy i beznadziejne błaganie o litość kochanej kobiety.

W obłądnym serca mego szale,
Niewolnik twój — jam tron ci wzniośł
I czekam — — —

— Swojej zguby! albowiem: *sic visum Veneri!* —
dokończył Hipolit Sergejewicz wiersza, oddalając się w alei parku.

Dziwił się swojej siostrze: nie wydawała mu się tak piękną, by wzbudzić taką miłość w młodzieńcu; zapewne osiągnęła to przez swoją taktykę odporną. W takim razie należy jej przyznać stoicką zdolność panowania nad sobą; bo Beńkowski był przystojny... Możeby jemu jako bratu i sumiennemu człowiekowi wypadało pomówić z nią o właściwym charakterze jej stosunku do tego namiętnością palającego młodzieńca?

Ale do czego doprowadzi taka rozmowa teraz? A nadto nie jest on do tego stopnia kompetentnym w sprawach Amora i Wenery, aby mieszać się w taką historię...

Lecz mimoto trzeba zwrócić uwagę Elżbiecie na prawdopodobną zgubę tego pana, jeśli przy jej pomocy nie zdoła na czas stłumić w sobie ognia swoich namiętności i nie nauczy się normalnie czuć i zdrowo myśleć.

A cóżby to było, gdyby ta pochodnia namiętności płonęła przed sercem Wareniki?

Jeszcze nie dał odpowiedzi na to pytanie, a już myślał nad tem, czem też to dziewczę może w tej chwili być zajęte? Może policzkuje właśnie swego Nikona, lub posuwa chorego ojca w fotelu po pokoju. I przedstawiając ją sobie wśród takich zajęć, wstydził się za nią. Nie — jest to bezwarunkowo konieczne, otworzyć tej dziewczynie oczy na rzeczywistość, zaznajomić ją z prądami współczesnej umysłowości. Jakaż to szkoda, że ona tak

daleko mieszka i nie można widywać się z nią częściej, aby dzień w dzień wstrząsać tem, co odgradza jej umysł od współdziałania logiki.

W parku panowała głęboka cisza i wonny chłód. Z domu dolatywały śpiewne tony skrzypiec i nerwowe akordy pianina. W harmonijnem następstwie zlewały się one w parku w melodye pełnych miłości rozmodleń, pieszczotliwych nawoływań i porywających zachwyków.

I z nieba także spływała muzyka; tam śpiewały skowronki.

Rozwichrzony i czarny jak węgiel siedział szpak na konarze lipowym, skubał piórka na gardziółku i znacząco pogwizdywał, spoglądając z ukosa na pogrążonego w myślach człowieka, który wolnym krokiem, z rękoma w tył założonemi, kroczył po alei, uśmiechniętemi oczyma patrząc gdzieś daleko.

Wieczorem przy herbacie Beńkowski więcej nad sobą panował i mniej był do szaleńca podobny. Także i Elżbieta Sergejewna nie wydawała się bynajmniej rozgrzana.

Hipolit Sergejewicz zauważył to i czuł się zabezpieczonym przed wyłonieniem się abstrakcyjnych rozmów — i mniej skrzępowanym.

— Ty nic nam nie opowiadasz o Petersburgu, Hipolicie — rzekła Elżbieta Sergejewna.

— Cóżby się o nim dało opowiedzieć? Jestto bardzo wielkie i ruchliwe miasto... Klimat ma wilgotny, a...

— A ludzi oschłych — przerwał mu Beńkowski.

— No, nie wszyscy. Jest wielu już rozmiękłych, okrytych pleśnią zastarzałych pojęć; wszędzie są ludzie dość różnorodni.

— Bogu dzięki, że tak jest — zawołał Beńkowski.

— Tak, życie byłoby niezdolnie nudne, gdyby tak nie było — potwierdziła Elżbieta Sergejewna. A jak się ma sprawa stosunku młodzieży do ludności wiejskiej? Czy ona wciąż jeszcze traci jej względy?

— Tak, coraz bardziej wzrasta rozczarowanie.

— Zjawisko to nader charakterystyczne dla inteligencji naszej doby — rzekł Beńkowski sarkastycznie uśmiechnięty — gdy ona była przeważnie szlachecką, nie miało miejsca coś podobnego. Ale teraz, kiedy syn lada nędzarza, kupca albo urzędnika, przeczytawszy dwie lub trzy książeczki popularne, już się zalicza do inteligencji — u takiej inteligencji wieś nie może wzbudzić żadnego zajęcia. Alboż ona ją zna? czy może ona dla nich być czemś innem, niż miejscem, gdzie można dobrze lato spędzić? Dla nich wieś — to wilegiatura; a oni wogóle są letnikami aż do dna duszy. Oni wynurzają się, pożyją i nikną, pozostawiając po sobie w życiu świstki papieru, czerepy, okruchy — zwyczajne ślady swego istnienia, jakie letnicy na polach wsi pozostawiają. Przyjdą po nich drudzy

i sprzątną to śmiecie i wraz z niem i pamięć tej haniebną, bezduszną i bezsilną inteligencji lat dziewięćdziesiątych.

— Ci drudzy — odrestaurowana szlachta? — zapytał Hipolit Sergejewicz, mrużąc oczy znacząco.

— Zdaje się, żeście mnie dobrze zrozumieli... mało dla was pochlebne — proszę mi wybaczyć! — rzekł Beńkowski, rumieniąc się.

— Ja się tylko pytałem, kto ci przyszedł będą — wzruszył ramionami Hipolit Sergejewicz.

— Oni — młoda wieś! Na reformę czekające pokolenie. Są już i teraz ludzie z rozwiniętą poczuciem swej godności ludzkiej, badacze, ludzie tędzy, którzy łakną wiedzy, gotowi dać znać o sobie.

— Witam ich z daleka! — odezwał się lekceważąco Hipolit Sergejewicz.

— Tak, należy przyznać, że wieś zaczyna w świat rzucać coś nowego — rzekła Elżbieta Sergejewna pojednawczym głosem. Są tu bardzo ciekawi chłopcy, Iwan i Grzegorz Szadrowi, którzy prawie połowę mojej biblioteki przeczytali, i Akim Mozyzew, człowiek »wszystko rozumiejący« jak się sam nazywa. Rzeczywiście wcale wybitne zdolności! Dla przekonania się dałem mu książkę z dziedziny fizyki. »Przeczytaj to i wytłumacz mi prawo dźwigni i równowagi«, — a on w tydzień z taką pewnością złożył swój egzamin, że byłam po pro-

stu zdumiona. A w odpowiedzi na moje pochwały mówił mi jeszcze: »Albo i cóż? wy to rozumiecie, więc nie jest to i mnie wzbronione — książki pisze się dla wszystkich«. Jak się on wam podoba? Tylko że u nich pojęcie ich wartości własnej rozwinęło się na razie tylko aż do zuchwalstwa i grubiaństwa. A tych nowo nabytych przymiotów używają nawet i w stosunku do mnie; ale ja znoszę i nie żalę się na nich przed naczelnikiem ziemstwa, wiedząc, jakie płomienne kwiaty wykwitnąć mogą na tej glebie i że się pewnego pięknego poranku zbudzisz na popiołach twojego domostwa.

Hipolit Sergejewicz uśmiechnął się, Beńkowski smutno na nią spojrzał.

Nie dotykając głębiej przedmiotów rozmowy i starając się wzajemnie nie urażać zbyt miłości własnej, gawędzili do dziewiątej godziny, poczem Elżbieta Sergejewna i Beńkowski znowu zajęli się muzyką, Hipolit Sergejewicz zaś pożegnał się i odszedł do siebie. Zauważył przytem, że jego przyszły szwagier nie zadaje sobie nawet najmniejszego przymusu, aby ukryć zadowolenie, którego doznawał za odejściem brata ukochanej.

... Dowiesz się wszystkiego, czego chcesz się dowiedzieć i jakby pewnego rodzaju nagroda za twoją ciekawość, nastąpią nudy...

Tego właśnie ubezwładniającego uczucia doznawał Hipolit Sergejewicz, zasiadając w swoim pokoju do stołu w celu napisania kilku listów do

swoich znajomych. Pojmował on pobudki szczególnego stosunku siostry do Beńkowskiego, pojmował i swoją rolę w tej grze. Wszystko to nie było ładnie, ale w tej chwili wszystko to było mu jakieś obce, i dusza jego nie oburzała się na tę parodję historyi Pigmaliona i Galatei, która się przed oczyma jego rozgrywała, choć rozum jego siostrę potępiał. Melancholijnie uderzając rączką pióra po stołę, skreślił płomień lampy, a gdy pokój zatonął w półmroku, począł wyglądać przez okno.

W księżycem oświeconym parku panowała martwa cisza; w szyby okien wзираł księżyc o zielonawem świetle.

Pod oknami przesunął się nagle jakiś cień i znikł, budząc ciche szelesty w gałęziach, które drżały potrącone.

Hipolit Sergejewicz zbliżył się do okna, otworzył je i wyjrzał. — Poza drzewami mignęła biała suknia pokojówki, Maszy.

— Cóż? — pomyślał, uśmiechając się. — Niechże przynajmniej pokojówka kocha, jeśli jej pani tylko bawi się w miłość.

*

*

*

Powoli mijały dni — kropla w bezgranicznym oceanie wieczności — a wszystkie były nużąco jednostajne. Prawie żadnych wrażeń — a pracować

mogło się tylko z wysiłkiem, bo pałący żar słońca, odurzające aromaty z parku i pełne melancholii księżycowe noce — wszystko to budziło w duszy marzycielstwo i lenistwo.

Hipolit Sergejewicz ze spokojem zażywał czysto wegetacyjnego życia, odkładając z dnia na dzień postanowienia zabrania się do pracy na serwo. Niekiedy doznawał nudów; robił sobie wtedy wyrzuty z powodu swojej bezczynności i słabości woli; ale wszystko to nie budziło w nim pragnienia pracy. Lenistwo swoje tłumaczył sobie dążeniem organizmu do nagromadzenia energii.

Rankami, budząc się ze zdrowego i pocrzepiającego snu, przeciągał się z rozkoszą i uważał, jak elastycznymi stawały się jego mięśnie, jak skóra była napięta i jak swobodnie i głęboko oddychają płuca.

Nieprzyjemna skłonność do filozofowania, nawiedzająca zbyt często jego siostrę, drażniła go zrazu, lecz z wolna pogodził się z tą wadą Elżbiety Sergejewny i tak zręcznie i delikatnie potrafił jej bezużyteczność filozofowania udowodnić, że się poczęła miarkować.

Jej dążności do dociekania wszystkiego nieprzyjemnie go raziły; widział, że siostra roztrząsała wszystko nie z naturalnego popędu do wyjaśniania sobie swego stosunku do życia, lecz że wrodzonym sprytem pragnęła zniszczyć i zburzyć to wszystko, co w jakikolwiek sposób mogło za-

mać chłodny spokój jej duszy. Wytworzyła sobie praktyczny szemat, a teorye o tyle ją tylko interesowały, o ile mogły ugruntować jej suchy, sceptyczny a nawet ironiczny stosunek do życia i ludzi.

Hipolit Sergejewicz wszystko to poskramiał, nie odczuwał jednak najmniejszej ochoty zawstydzania siostry wyrzutami z tego powodu. Osądzał ją w duchu, lecz brakło mu czegoś, coby mu pozwoliło głośno sąd wypowiedzieć: bo w rzeczy samej serce jego nie było cieplejsze niżli serce siostry. W ten sposób Hipolit Sergejewicz prawie po każdej wizycie Bienkowskiego dawał sobie słowo, że pomówi ze siostrą o jej stosunku do tego młodzieńca, lecz nie dotrzymywał słowa; niepostrzeżenie usuwał się od mieszania się do tej sprawy. Przecież to jeszcze nie wiadomo, która strona na tem ucierpi, gdy zdrowe zmysły obudzą się w tym rozgorączkowanym młodzieńcu.

A to nastąpi — zbyt w nim silny żar goreje, aby nie miał zgasnąć. Ale przecież siostra dobrze o nim pamięta, że on jest młodszy od niej; nie ma o nią troski... a jeśli ona karę poniesie — cóż wtedy?... Tak się stać powinno, jeśli życie sprawiedliwe...

Warenika bywała często. Wiosłowali we dwoje albo w trójkę ze siostrą; lecz nigdy z Beńkowskim. Urządzali przechadzki do lasu; raz pojechali do klasztoru oddalonego o 20 wiorst. Dziewczyna

podobała mu się jeszcze zawsze. Gniewało go jej »dzikie« gadanie, lecz zawsze obecność jej była mu miła. Jej naiwność bawiła go i poskramiała w nim »mężczyznę«. Zdumiewała go harmonijnością swej natury; ale jej naiwna szczerość i prostota, którą odpierała wszystko, czem chciał spokój jej duszy zakłócić, urażała jego miłość własną.

I coraz częściej zadawał sobie pytanie:

Czyż nie posiadam na tyle energii, aby wybić jej z głowy wszystkie te błędne pojęcia i głupstwa?

W nieobecności jej odczuwał wyraźnie konieczność oswobodzenia jej umysłu z brzydkich więzów, podnosił tę konieczność do obowiązku, ale ledwie zjawiała się Warenika, a już — nie żeby zupełnie zapominał o swoim postanowieniu — lecz nigdy w stosunku do niej nie wysuwał go na pierwszy plan. Czasami spostrzegał, że przysłuchuje się jej tak, jakgdyby pragnął się od niej czegoś nauczyć, i przyznawał, że jest w niej coś, co krępuje swobodę jego umysłu. Zdarzało się też, że mając już w głowie gotową odpowiedź, któraby ją z ogłuszającą siłą i jasnością przekonała o błędach jej bijących w oczy — tłumił ją w sobie, jak gdyby się bał ją wypowiedzieć. Pochwyciwszy się na tem, myślał:

— Miałebym to czynić z braku wiary w moją prawdę?

I przekonywał się naturalnie o czemś wręcz przeciwnem.

Trudno było mu jeszcze mówić z nią i z tego powodu, że ona prawie że nie znała abecadła ogólnie przyjętych zapatrywań. Należałoby z nią rozpoczynać od podstaw, a jej uporczywe pytania »dlaczego« i »po co« wyprowadzały go ustawicznie na manowce abstrakcyi, gdzie ona go już zupełnie nie rozumiała.

Pewnego razu, zmęczona jego opozycjami, wyłożyła mu swoją filozofię w następujących słowach:

— Bóg stworzył mnie, podobnie jak i wszystkich innych ludzi, na obraz i podobieństwo swoje... to ma znaczyć, że wszystko, co czynię, czynię za Jego wolą i wedle woli Jego żyję... On wie przecież, jak ja żyję! Otóż i wszystko — a wy się ze mną napróżno spieracie.

Coraz częściej wzbudzała w nim »mężczyznę«; ale reflektował się i z gwałtownym wysiłkiem wymagającym coraz więcej okiełzania tłumił w sobie te zmysłowe porywy i usiłował nawet ukryć je przed sobą samym.

Ale gdy mu się to nie udawało, mówił do siebie, uśmiechając się w poczuciu winy:

— Cóż?... to jest naturalne wobec jej piękności... Jestem mężczyzną, a organizm mój staje się z każdym dniem silniejszy pod wpływem tego słońca i tego powietrza... To jest naturalne, ale

jej przymioty chronią mię zupełnie przed tem, aby dać się unieść...

Rozsądek staje się nie do uwierzenia czynnym i giętkim, jeśli uczucie człowieka potrzebuje maski, aby ukryć pod nią niską prawdę swych pożądań. W istocie swojej proste i prawdziwe — jak każda siła — zatracą uczucie i prawdziwość i prostotę swoją i staje się czemś pospolitem i wstrętnem z chwilą, kiedy je rozbije życie lub złamią nadmierne wysiłki ku powstrzymaniu jego porywów zimnymi cugłami rozsądku. A wtedy z potrzeby ukrycia swej stałości i pospolitości zwraca się ono o pomoc do tej wielkiej zdolności rozsądku, z jaką on kłamstwu nadaje fizyognomię prawdy. Zdolność ta u Hipolita Sergejewicza była dobrze rozwinięta, i przy jej pomocy udawało mu się swojej skłonności do Wareniki nadać charakter zupełnie czystej bezinteresowności.

Kochać jej — nie miał siły — wiedział o tem; ale w głębi jego myśli płonęła nadzieja posiadania jej; sam się przed sobą do tego nie przyznając, oczekiwał chwili, kiedy ją ku sobie porwie...

I tak rozważając u siebie wszystko, co nie mogło go poniżyć w jego własnych oczach, zręcznie przed sobą taił to, coby w nim mogło obudzić nieufność do swojej przyzwoitości.

Pewnego wieczora przy herbacie oznajmiła siostra:

— Wiesz, jutro są urodziny Wareniki Olessó-

wny. Trzeba będzie tam pojechać. Mam ochotę przejechać się... A i dla koni będzie to dobrze.

— Jedź... i powinszuj jej w moim imieniu — oświadczył, czując, żeby też chętnie tam pojechał.

— A ty nie chcesz pojechać? — zapytała, patrząc nań ciekawie.

— Ja? Nie wiem, czy chcę... Zdaje się, że nie... Ale mogę i pojechać.

— Obowiązku nie masz! — zauważyła Elżbieta Sergejewna i przysłoniła powieki, ukrywając uśmiech, który jej błysnął w oczach.

— Wiem — odrzekł niezadowolony.

Nastąpiła długa pauza, podczas której Hipolit Sergejewicz poddawał się surowej krytyce za to, że postępuje sobie w stosunku do tej dziewczyny, jak gdyby obawiał się, czy jego zdolność panowania nad sobą ostanie się przed jej czarem...

— Mówiła mi Warenika, że tam u nich jest wspaniała okolica — powiedział i zarumienił się, wiedząc, że siostra zrozumiała. Ale ona nie dała po sobie niczem tego poznać, przeciwnie zaczęła go namawiać.

— Jedźmy, proszę cię! Zobaczysz, u nich jest rzeczywiście ładnie. I mnie przyjemniej będzie z tobą. My nie na długo — dobrze?

Zgodził się; ale popsuło mu to humor.

— Po cóż mi było trzeba kłamać? Co w tem za wstyd, lub co nienaturalnego, że chcę jeszcze raz zobaczyć przystojną dziewczynę? — pytał się

z gniewem. Ale na to pytanie nie dawał sobie odpowiedzi.

Nazajutrz rano zbudził się wcześniej, a pierwsze głosy dnia, które doszły jego ucha, były słowa siostry:

— ...zdziwi się Hipolit.

Nastąpił po nich głośny śmiech. — Tak mogła się śmiać tylko Warenika. Hipolit Sergejewicz zrzucił z siebie kołdrę i nadśłuchiwał uśmiechnięty. Uczucie, które nim nagle zawładnęło i nappełniło jego duszę, ledwie można było nazwać radością, było to raczej łagodnie podrażniające nerwy przecucie blizkiej uciechy.

I wyskoczywszy z łóżka, począł ubierać się z pośpiechem, który równocześnie bawił go i niepokoił. Co się też tam stało? Miałażby przyjechać w dzień swoich urodzin, aby zaprosić do siebie jego i siostrę? A to miła dziewczyna!

Kiedy szedł do jadalni, Warenika komicznie zakłopotana opuściła oczy i nie przyjmując podanej sobie ręki, zaczęła nieśmiałym głosem:

— Boję się, byście...

— Wyobraź sobie! — zawołała Elżbieta Sergejewna — wyrwała się z domu.

— To znaczy, jak? — zapytał brat.

— Potajemnie — tłumaczyła Warenika.

— Cha, cha, cha! — śmiała się Elżbieta Sergejewna.

— No, ale dlaczego? — dopytywał się Hipolit Sergejewicz.

— Przed wielbicielami — przyznała się dziewczyna i roześmiała się również. »Wyobrażcie sobie, co za miny robią! Ciocia Łuczycka — ta okropnie chce mnie wypchać za mąż! — Porozsyłała im uroczyste zaproszenia i nagotowała i napiekła dla nich tyle, jak gdyby ich było ze stu! A ja pomagałam jej przytem... a dzisiaj rano zbudziłam się — i wierzchem hop! tu... Im zostawiłam karteczkę, że pojechałam do Szczerbakowych... rozumiecie? w zupełnie przeciwną stronę, dwadzieścia i trzy wiorsty stąd!

Patrzył na nią i śmiał się śmiechem, który w piersi jego wywoływał pieszczotliwe ciepło.

Była znowu we wolnej, białej sukni, której fałdy w łagodnych falach spływały jej z ramion na stopy, otulając jakby mgłą jej całe ciało.

Jasny uśmiech drżał w jej oczach, a na obliczu igrał rumieniec ożywienia.

— Podoba wam się to? — pytała go.

— Co? — zapytał krótko.

— Że ja tak zrobiłam. To przecież nie jest grzecznie, ja to rozumiem — rzekła poważniej — ale... — i zaraz znów wybuchła śmiechem.

— Mogę sobie ich wyobrazić! Wystrojeni, uperfumowani... Ze zmartwienia się upijają. — Boże mój! i jeszcze jak!

— Wielu ich jest? — zapytał Hipolit Sergejewicz.

— Czwórka...

— Herbata nalana! — oznajmiła Elżbieta Sergejewna.

— Przyjdzie ci zapłacić za ten figiel, Warya... czyś myślała o tem?

— Nie... i wcale nie chcę! — odparła stanowczo, siadając do stołu. Będzie czas na to, kiedy wrócę do nich... to jest wieczorem; bo cały dzień zostanę u was. Pocóż mam rano myśleć o tem, co się dopiero wieczorem stanie? I kto, i co może mi zrobić? Ojciec? pomruczy — ale można od niego odejść i nie słuchać... Ciotka? ona mnie kocha bez pamięci! Może oni?! tych ja przecież mogę do tego doprowadzić, że będą się przedemną czołgać na czworakach! cha, cha, cha! A toby można się zabawić!... Spróbuję... Czernionobów nie potrafi — ten ma brzuch!

— Warya! tyś całkiem zwaryowana! — powstrzymywała ją Elżbieta Sergejewna.

— Nie będę już — obiecywała, śmiejąc się, dziewczyna. Lecz nie prędko się uspokoiła, przedstawiając wciąż dalej swoich zalotników i porywając szczerością swego ożywienia i brata i siostrę.

Przez cały czas, jak długo piło się herbatę, śmiech brzmiał bezustannie. Elżbieta Sergejewna śmiała się z odcieniem pobłażliwości dla Ware-

niki. Hipolit Sergejewicz starał się powstrzymywać, ale nie mógł.

Po herbacie zaczęto się zastanawiać, czemby zapełnić tak wesoło rozpoczęty dzień. Warenika zaproponowała przejażdżkę łódką do lasu i herbatkę w lesie, a Hipolit Sergejewicz zaraz się z nią zgodził; ale siostra zrobiła zakłopotaną minę i rzekła:

— Ja w tem nie mogę wziąć udziału. Mam dziś pilną jazdę do Sanina, której nie mogę odroczyć. Zamyślałam pojechać do ciebie, Waryo, i po drodze tam wstąpić... Ale teraz będę musiała umyślnie pojechać.

Hipolit Sergejewicz spojrzał na nią podejrzliwie, zdawało mu się, że to w tej chwili wymyśliła, aby go z Wareniką sam na sam zostawić. Lecz twarz jej wyrażała tylko niezadowolenie i troskę.

Warenice zrobiło się przykro po jej słowach; ale wkrótce ożywiła się znowu.

— Więc cóż? Tem gorzej dla ciebie... Jednak pojedziemy! Czy nie tak? Dziś daleko... Ale jeszcze co — może pojedą z nami Grzegorz i Masza?

— Grzegorz, naturalnie! Ale Masza... Kto poda obiad?

— A kto go jeść będzie? Ty pojedziesz do Beńkowskich, a my nie wrócimy, aż wieczorem.

— Dobrze! weź sobie i Maszę!

Warenika gdzieś znikła. Hipolit Sergejewicz zapalił sobie papierosa, wstąpił na taras i począł po nim chodzić tam i napowrót. Uśmiechała się mu przechadzka. Ale Grzegorz i Masza wydawali mu się zbyt zbytecznymi. Bada mu przeszkadzali — to nie ulega wątpliwości. Nie można przecież w ich obecności swobodnie rozmawiać.

Nie upłynęło pół godziny, a już Hipolit Sergejewicz stał z Wareniką u łodzi, spoglądając, jak się koło niej krzątał rudy, niebiesko-oki chłop, z piegami na twarzy i orlim nosem. Masza, wkładając do łodzi samowar i różne węzółki, mówiła do niego:

— A ty się zwijaj, rudy! Widzisz — państwo czekają!

— Zaraz wszystko gotowe — odpowiedział chłop wysokim tenorem, przymocowując wiosła i mrużąc do Maszy.

Hipolit Sergejewicz spostrzegł to i odgadł, kto to po nocach skrada się mimo jego okien.

— Wiecie — rzekła Warenika, siedząc już w łódce i skinieniem głowy wskazując na Grzegorza — on tu u nas uchodzi także za uczonego — prawnika.

— Otóż! Już mówicie, Barbaro Wasyliwna! — uśmiechnął się Grzegorz, pokazując silne zęby. Uczony prawnik!

— Całkiem seryo, Hipolicie Sergejewiczu, on zna wszystkie rosyjskie prawa...

— Rzeczywiście, Grzegorzu? — zapytał Hipolit Sergejewicz.

— To łaskawa panienka tylko tak żartuje... Skądże-by? Nikt ich, Barbaro Wasyliwna, nie zna wszystkich.

— A ten, co je pisał?

— Pan Spirański? Ten już dawno umarł...

— Cóż wy czytacie? — pytał Hipolit Sergejewicz, przypatrując się rozumnej orleј twarzy chłopca, zanurzającego lekko wiosła w wodzie.

— Co się tyczy praw, jak to łaskawa panienka powiada, — zauważył Grzegorz, wskazując na Warenikę ożywionym wzrokiem — wpadł mi przypadkiem dziesiąty tom w ręce; zaglądam — widzę, że zajmujące i pożyteczne. Zaczynam czytać... A teraz mam tom pierwszy. Pierwszy też paragraf właśnie tak powiada: »Nieznajomość praw nie chroni przed karą«. Otóż ja sobie tak myślę: nikt ich właściwie nie zna, i nie jest też konieczne wszystkie znać... Oto wkrótce nauczyciel wiejski da mi ustawę o chłopach; — z ciekawością przeczytam, co też tam być może.

— Widzicie, jaki z niego? — pytała Warenika.

— Dużo pewno czytacie? — pytał Hipolit Sergejewicz, przypominając sobie gogolowskiego Piotrusia.

— Czytam, kiedy mam czas. Książek tu dużo... u samej Elżbiety Sergejewny będzie ich — myślę —

do tysiąca. Ale przeważnie romanse i różne powieści...

Łódka szła wprost przeciwko prądowi; naprzeciw niej ciągnęły longi, a wszystko dookoła upajało przepychem, jasnością, ciszą i wonią.

Hipolit Sergejewicz spoglądał na oblicze Wareniki, zwrócone z ciekawością ku barczystemu wiosłarzowi, który rytmicznie, rozdzielając wiosłami gładką powierzchnię wody, opowiadał o swoich literackich upodobaniach, wielce zadowolony, że go uczony pan tak chętnie słucha. W oczach Maszy, śledzącej go z poza spuszczonych rzęs, przebłykiwała miłość i duma.

— Nie lubię czytać o tem, jak słońce wschodzi i zachodzi... i w ogóle o przyrodzie. Takich wschodów słońca nie jeden, może tysiąc widziałem... Lasy i rzeki są mi także znane; po co o tem czytać? A o tem pisze każda książka... Mojem zdaniem zupełnie zbytecznie... Bo każdy zachód słońca pojmuję po swojemu, i każdy ma na to swoje oczy. Ale co się tyczy życia ludzi — to ciekawe. Czytasz i myślisz sobie: a jakbyś ty sam też postąpił, gdybyś się znalazł w takim położeniu? chociaż wiesz, że to wszystko nie prawda.

— Co jest nie prawdą? — zapytał Hipolit Sergejewicz.

— A przecież książki. — Wymyślone. O chłopach na przykład... Czyż oni są jak w książkach? Piszę się o nich zawsze z litością i robi się z nich

takich głuptasów... To nie dobrze! — Ludzie czytają to i myślą, że tak jest w istocie i nie mogą chłopą należycie zrozumieć... bo w książce — to on już — aż nadto głupi i do niczego.

Warenikę ta rozmowa — zdaje się — nudziła, i zaczęła sobie nucić półgłosem, oczyma bez wyrazu przypatrując się brzegowi.

— Wiecie co? Hipolicie Sergejewiczu, wysiądźmy, pójdziemy pieszo do lasu. Bo tak cóż? siedzimy i parzymy się na słońcu. Czy to przechadzka? Grzegorz i Masza pojedą aż do sawołowego jaru, tam przystaną, przygotowują herbatę i będą na nas czekać. Grzegorzu, przybijaj do brzegu! Strasznie lubię jeść i pić w lesie, na powietrzu, na słońcu... Czujesz się wolnym jak włóczęga.

— Otóż widzicie — rzekła ożywiona, wyskoczywszy z łódki na piasek nadbrzeżny. Ledwie dotkniesz ziemi — a już coś masz, coś takiego co pobudza duszę. Nasypałam sobie pełno piasku do bucików... a jedną nogę zamoczyłam w wodzie... to jest nieprzyjemne i przyjemne, więc — dobre, bo się człowiek czuje... Patrzcie, jak szybko łódka poszła!

Woda płynęła u ich stóp i zamacona przez łódkę cicho rozbijała się o brzeg. Łódka jak strzała pędziła w stronę lasu, pozostawiając za sobą długą smugę błyszczącą w słońcu jak srebro.

Widać było, jak Grzegorz patrzył na Maszę i śmiał się, a ona groziła mu pięścią.

— To para zakochanych — oświadczyła Warenika z uśmiechem. Masza prosiła już Elżbietę Sergejewną, aby pozwoliła jej wyjść za Grzegorza; ale Elżbieta Sergejewna dotąd jej jeszcze nie pozwoliła; ona nie lubi małżeństwa na służbie. Dla Grzegorza jednak upływa w jesieni czas służby, i wtedy on sam Maszę zabierze... Są oboje porządni. Grzegorz prosi mnie, abym mu sprzedała kawał ziemi, albo oddała mu na dłuższy czas w dzierżawę... Chce dziesięć desjetyn. Ale nie mogłam tego uczynić, jak długo ojciec żyje, i to mi sprawia przykrość... Wiem, że spłaciłby mi wszystko i to bardzo sumiennie, on przecież do wszystkiego... i ślusarz i kowal i za młodszego woźnicę u was służy... Kokowicz, naczelnik ziemski i jeden z konkurentów do mojej ręki, tak o nim mówi: Tio, wie Pani, niebezpieczna bestyja — nie szanuje władzy!

— Kto to taki, ten Kokowicz? Polak? — zapytał Hipolit Sergejewicz, ożywiony kapryсами Wareniki naśladującej Kokowicza.

— Mordwin, Czukcz — ja nie wiem! Ma strasznie długi i gruby język, który mu się w gębie nie może pomieścić i przeszkadza mu w mówieniu... Uf! co za ohyda!

Zamknęła im drogę wielka kałuża pokryta zieloną pleśnią i okolona tłustem czarnem błotem. Hipolit Sergejewicz spojrzał na nogi i rzekł:

— Trzeba obejść bokiem.

— Alboż nie przeskoczycie? Sądziłam, że już oschła? — zawołała Warenika, z oburzeniem tupiąc nóżką. Obchodzić — to za daleko... a przytem podrę sobie tam suknię... Próbujemy przeskoczyć! To łatwe — patrzcie — r — raz!

Wspięła się na paluszkach i skoczyła. Jemu zdawało się, że suknia zerwała się jej z ramion i uleciała w powietrze.

Lecz ona stała już po drugiej stronie kałuży i mówiła z żalem:

— Ach, jakżem się powalała! Nie, raczej kałużę obejdźcie... tfe, jakie ohydne!

On patrzył na nią i usiłował pochwycić jakąś nagle się wyłaniającą niejasną myśl, która go drażniła, i czuł, że stopy jego grzęzną w błotnistym moczarze. Po drugiej jego stronie strząsała Warenika błoto ze swojej sukni, która wydawała cichy szelest, pozwalając Hipolitowi oglądać delikatne, paskowane pończoszki na zgrabnych nóżkach. Przez chwilę zdawało mu się, że to dzielące ich błoto oznacza jakąś przestrogę dla niego czy dla niej. Ale od myśli tej oderwał się gwałtownie, nazywając to ukłucie w sercu marnem dzieciństwem, i spiesznie zboczył w krzaki, które okalały ścieżkę.

Ale i tu musiał brnąć w wodę, która była tylko trawą okryta. Z mokremi nogami i z nieokreślonym jeszcze postanowieniem zbliżył się do niej, a ona rzekła do niego, z grymasem wskazując na suknię:

— Proszę zobaczyć! — Ładnie? co?

— Spojrzał — wielkie czarne plamy wpadały w oczy, rozkładając się tryumfująco na białej materii.

— Lubię i przywykłem widzieć cię tak świętą, że nawet plama z błota na twojej szacie rzuca czarny cień na moją duszę: — rzekł Hipolit Sergejewicz powoli i zamilkł, patrząc w zaciękwioną twarz Wareniki, na której igrał uśmiech.

Jej oczy spoczęły pytająco na jego obliczu.

Czuł, że pierś jego napęśniała się jakby wrzącą pianą, która przeobrazi się wkrótce w czarujące słowa, jakimi jeszcze nigdy i do nikogo nie mówił, bo ich do tej pory nie znał.

— Coście powiedzieli? — pytała Warenika, nalegając.

Wzdrygnął się, bo pytanie jej brzmiało surowo; siłąc się na spokój, począł jej poważnie tłumaczyć:

— Mówiłem wiersze... w rosyjskim brzmia jak proza... ale słyszycie przecież mimo to, że to poezja? To, zdaje się są włoskie wiersze... nie przypominam sobie rzeczywiście... A zresztą może to i proza z jakiegoś romansu... Jakoś mi to właśnie przyszło na myśl...

— Jak to opiewa, no, powiedzcie jeszcze raz? — prosiła, zamyśliwszy się nagle.

— Lubię... — utknął i potarł ręką czoło. Czy

uwierzycie? zapomniałem, com powiedział! Słowo honoru — zapomniałem.

— No — chodźmy! I zdecydowana, zaczęła iść naprzód.

Przez kilka minut usiłował Hipolit Sergejewicz zrozumieć i wyjaśnić tę scenę, która między nim a dziewczyną wzniosła niewidzialną przegrodę wzajemnego niedowierzania. Ale mimo całego wysiłku nie mógł z siebie nic wydobyć prócz świadomości nieprzyjemnego uczucia względem Wareniki. Ona szła obok niego, milcząc ze schyloną głową i nie patrząc na niego.

— Jakto jej wszystko wytłómaczyć? — zastanawiał się Hipolit Sergejewicz.

Milczenie jej działało na niego przygnębiająco; zdawało mu się, że o nim rozmyśla, i nie myśli nic dobrego.

I nie mogąc żadnego wyjaśnienia znaleźć dla swego niewłaściwego zachowania się, zawołał nagle z wymuszoną wesołością:

— Gdyby też wielbiciele wasi wiedzieli, jak wy czas spędzacie!

Spojrzała nań takim wzrokiem, jak gdyby ją słowami swojemi wezwał skądś z daleka; ale stopniowo poważne jej oblicze stało się naiwne i dziecinnie miłe.

— Tak! Toby ich... uraziło! Ale oni się dowiedzą — o! — dowiedzą! I... może nie będą o mnie dobrze myśleli...

— Czy się boicie tego?

— Ja? ich? — zapytała cicho, ale z gniewem.

— Proszę mi wybaczyć pytanie...

— Nie szkodzi... Przecież mnie nie znacie... nie wiecie, jak oni wszyscy są mi wstrętni. Nieraz tak chciałabym sobie ich wszystkich rzucić do nóg i chodzić po ich twarzach... deptać im usta, aby nie mogli mówić. — Uh! jacy oni wszyscy podli.

Gniew i brak serca tak wyraźnie były jej z oczu, że widok jej stał mu się przykry; odwrócił się od niej i rzekł:

— Jak smutno, że musicie żyć wśród samych takich ludzi, którzy wam są znienawidzeni. Czyż wistocie niema pomiędzy nimi ani jednego, któryby... był dla was odpowiedni...

— Nie! Wiecie — bardzo mało jest na świecie zajmujących ludzi; wszyscy są ograniczeni, bezduszni, wstrętni...

Uśmiechnął się na jej żale i rzekł z odcieniem ironii, której sam dobrze nie rozumiał:

— Zawcześnie jeszcze tak mówić! Proszę poczekać, a znajdzie się już człowiek, który was zadowoli... On was pod każdym względem zajmie...

— A któż to? — zapytała szybko, zatrzymując się.

— Wasz przyszły mąż.

— Ale kto taki?

— Jakże ja o tem mogę wiedzieć? — rzekł

Hipolit Sergejewicz, wruszając ramionami, niezadowolony z żywości jej pytań.

— A mówicie! — westchnęła i szła dalej.

Szli wśród krzaków, ledwie im do ramion sięgających; droga między nimi wiła się wężykowato, w kapryśnych zgięciach, jak zgubiona wstęga. Teraz ukazał się przed nimi gęsty las.

— A chcielibyście iść za męża? — pytał Hipolit Sergejewicz.

— Tak... nie wiem... Ja nie myślę o tem... — odrzekła z prostotą. Spojrzenie pięknych jej oczu, które w dal zwróciła, tak było skupione, jak gdyby wspomniała coś dalekiego i drogiego.

— Powinnibyście zimę spędzić w mieście, tam piękność wasza zwróci ogólną uwagę, i łatwo znajdziecie to, czego szukacie... Wielu bowiem nawet bardzo zapragnie nazwać was swoją żoną — mówił cicho i powoli, obserwując w zamyśleniu jej postać.

— Trzeba jeszcze, ażebym pozwoliła na to.

— Jak możecie zabronić komu pragnąć tego?

— Ach, tak! Naturalnie... mogą sobie pragnąć!

Kilka kroków szli w milczeniu. Ona zamyślona patrzyła w dal, grzebiąc w jakichś wspomnieniach; — on liczył, nie wiedzieć czego, plamy na jej sukni. Było ich siedm: trzy wielkie, które wyglądały jak gwiazdy, dwie — jak kropki, a jedna jak od pociągnięcia pendzlem. Z powodu czarnej

barwy i sposobu rozmieszczenia miały dla niego jakieś znaczenie; lecz jakie — nie wiedział!

— Kochaliście się kiedy? — zabrzmiał nagle jej głos poważnie i badawczo.

— Ja? — zapytał Hipolit Sergejewicz, wzdrygnąwszy się. — Tak... ale już dawno, gdy jeszcze byłem młodzieńcem...

— Ja też już dawno... — oświadczyła.

— A... on, kto jest? — zapytał Hipolit Sergejewicz, nie czując niewłaściwości pytania; i, zerwawszy gałązkę, która mu pod rękę wpadła, odrzucił ją daleko od siebie.

— On? Koniokrad... Trzy lata upłynęły od czasu, kiedym go widziała. Miałam wtedy siedemnaście lat... Schwymano go pewnego razu, zbito i przywieziono do naszego dworu... Pamiętam: był taki jasny poranek... było jeszcze wcześniej, wszyscy u nas spali...

Umilkła zamyślona.

— Pod wozem stała kałuża krwi, taka tłusta kałuża, w którą padały ciężkie krople z jego ciała... Nazywał się Szaszka Remezow. Chłopi przyszedli do dworu, patrzyli na niego i warczeli jak psy. Wszyscy mieli takie złe oczy. Tylko on, Szaszka, patrzył na mnie spokojnie... I uczułam, że on — chociaż zбитy i skrępowany — uważał się za lepszego od nich wszystkich... Tak przynajmniej wyglądał... Miał wielkie, bure oczy... Żał mi go było i czegoś się bałam... Poszłam do domu i na-

lałam mu kieliszek wódki... Potem wyszłam i podałam mu... Ale jego ręce były związane, nie mógł go wypić... I rzekł do mnie, podnosząc nieco głowę, która cała była we krwi: — Podajcie mi to do ust, panienko! Potrzymałam mu — wypił powoli, powoli i rzekł: — Dziękuję wam, panienko, niech wam Bóg da szczęścia! — Potem szepnęłam mu nagle: — uciekajcie! — A on odrzekł głośno: — Jeśli żyw będę, z pewnością ucieknę! Wierzcie! — I mnie się to okropnie podobało, że on tak głośno zawołał, że wszyscy na dworze słyszeli. Potem powiedział: — Panienko, każcie mi obmyć twarz! — Poleciałam Dziuni i obmyła mu ją... jednak pozostała siną i opuchłą od uderzeń... tak! Wkrótce odwieziono go, a kiedy wóz zjeżdżał z dziedzińca, patrzyłam na niego, a on ciągle kłaniał mi się głową i uśmiechał się oczyma... chociaż był taki rozbity... Ileż ja się za nim napłakałam! Jak modliłam się do Boga, aby mu pozwolił uciec...

— I wy — przerwał jej ironicznie Hipolit Sergejewicz — może poczekacie, aż on ucieknie i do was przyjdzie — i wtedy wyjdziecie za niego?

Nie słyszała lub nie pojęła ironii, bo z prostotą odparła:

— Cóż, po coby tu miał przychodzić?

— A gdyby przyszedł — poszlibyście za niego?

— Za chłopca... Nie wiem... Sądzę, że nie!

Hipolita Sergejewicza rozgniewało to.

— Zawróciliście sobie głowę romansami, to wam muszę powiedzieć, Barbaro Wasyliwno — mówił surowo.

Przy dźwięku jego suchego głosu spojrzała na niego ze zdziwieniem i poczęła się milcząco i uważnie przysłuchiwać jego twardym, nawet karcącym słowom. A on zaczął jej dowodzić, jak ta ulubiona przez nią literatura demoralizuje umysł i duszę, jak ona zawsze spacza rzeczywistość, obca uszlachetniającym ideom, obojętna wobec smutnej prawdy życia i dążeń ludzkich.

Głos jego rozlegał się przenikliwie w ciszy otaczającego ich lasu... często dawał się słyszeć trwożliwy szmer w gałęziach — coś się tam skradało... Z pomiędzy liści na drogę spoglądał wonny zmierzch, od czasu do czasu rozchodził się przeciągły głos, podobny do łkania tłumionego, a liście drżały lekko niby we śnie...

— Powinno się czytać i cenić tylko te książki, które uczą rozumieć sens życia, pragnienia ludzkie i istotne motywy ich czynów. Pojąć ludzi — to znaczy: przebaczyć im ich wady. Powinno się wiedzieć, jak źle ludzie żyją, a jak dobrze żyć-by mogli, gdyby byli mędrsi i więcej na siebie wzajem mieli względu. Wszyscy pragną jednego: szczęścia; ale dążą do niego różnemi drogami, niekiedy haniebnymi, a tylko dla tego, bo nie wiedzą, na czym polega szczęście. A właśnie obowiązkiem dobrej i uczciwej literatury jest: wyjaśnić ludziom,

na czem ono się zasadza i jak go szukać. A te książki, które wy czytacie... one kłamią i to tego kłamią... One też wpoiliy w was dzikie pojęcie bohaterstwa... I co stąd? teraz będziecie szukać w życiu takich ludzi, jakich w tych książkach znajdujecie...

— Nie, stanowczo nie będę! — rzekło dziewczę poważnie.

— Wiem — takich niema. Ale właśnie książki dlatego są dobre, że kreślą to, czego niema. Pospolitość jest wszędzie... Całe życie jest pospolite. — Jużto nadto wiele mówi się o cierpieniach... to z pewnością nieprawda... a jeśli to nieprawda, to jakże dobrze mówić wiele o tem, czego wistocie tak mało! Otóż powiadacie, że w książkach należy szukać przykładnych uczuć i myśli... że wszyscy ludzie schodzą na manowce i nie rozumieją się nawzajem... Ale przecież książki także piszą ludzie! I po czem ja poznam, w co mam wierzyć i które lepsze? A przecież w tych książkach, które wy potępiacie, jest bardzo wiele szlachetnego...

— Nie zrozumieliście mnie... zawołał rozdrażniony.

— Tak? I wy się za to na mnie gniewacie? — zapytała jak w poczuciu winy.

— Nie! naturalnie, że się nie gniewam... Czyż o tem może być mowa?

— Wy się gniewacie, ja wiem, wiem! I mnie

to także złości, jeżeli kto ze mną się nie zgadza. Ale poco wam tego, abym się z wami zgadzała? I mnie też... Poco wogóle wszyscy ludzie się sprzecniają i chcą, aby się z nimi zgadzano? Przecież wtedy nie będzie można nawet mówić o niczem.

Zaczęła się śmiać i wśród śmiechu zakończyła:

— Jak gdyby wszyscy chcieli, aby ze wszystkich słów pozostało tylko jedno: Tak! Ogromnie wesołe!

— Pytanie, po co mi tego?

— Nie, ja rozumiem; zwykliście nauczać i jest dla was nieodzownem, aby wam nie przeszkadzano sprzeciwianiem się.

— Wcale nie! — zawołał z żalem Hipolit Sergejewicz. — Ja chcę wywołać u was krytykę... krytykę wszystkiego, co się w okół was i w duszy waszej dzieje...

— Poco? — spytała, patrząc mu naiwnie w oczy.

— Mój Boże! Co znaczy: poco? Abyście mogły rozważać swoje uczucia, myśli i czyny... abyście się rozumnie odnosić mogły do życia i do siebie samej.

— No — to, zdaje się, będzie trudne. Siebie samego badać, krytykować... Jak to można? Przecież jestem jedna... więc jak?... Rozdwoić się? Czy jakże? Nie, ja tego nie rozumiem. Według was, wam tylko prawda jest wiadoma... Przy-

puśćmy, że i u mnie tak jest i u wszystkich... Toby znaczyło, że się wszyscy mylą... Bo przecież powiadacie: prawda jedna jest dla wszystkich... czy tak?... ach, patrzcie co za cudna łaka!

Spojrzał, nie odpowiadając na jej słowa. Wrzało w nim uczucie niezadowolenia z siebie samego. Umysł jego doznawał upokorzenia ze strony tej nieugiętej dziewczyny opierającej się jego usiłowaniom ujarzmienia jej. Gryzie go to, że nie potrafił nawet na chwilę skierować jej sposobu myślenia i poprowadzić go drogą przeciwną tej, jaką szła dotąd bez przeszkody. Zwykł był ludzi, którzy się z nim nie zgadzali, uważać za głupich; w najlepszym razie miał ich za niezdolnych do dalszego rozwoju poza ten punkt, na którym się zatrzymał ich rozum. Dla ludzi takich odczuwał pogardę i litość. Ale ta dziewczyna nie wydawała mu się głupią — i nie wzbudzała w nim tych uczuć, jakie zwykle żywił dla przeciwników. — Skądże tak jest? i czem ona? — I odpowiadał sobie: — Bez wątpienia tylko z tego powodu, że jest tak czarująco piękną... Jej dzikie zapatrywania możnaby jej zresztą wybaczyć... już choćby dlatego, że są oryginalne, a oryginalność spotyka się tak rzadko, a zwłaszcza u kobiet.

Jako człowiek wysokiej kultury na zewnątrz obchodził się z kobietą jak z istotą równą mu pod względem umysłowym, ale w głębi duszy, jak ka-

ždy mężczyzna, myślał o kobiecie sceptycznie i z ironią. W sercu człowieka dużo jest miejsca na wiarę — lecz miejsce na przekonanie jest ciasne...

Powoli szli po szerokiej, prawie kołowo-okrągłej polanie. Droga przerzynała ją wpoprzek swemi dwiema czarnemi liniami kolei i gubiła się w lesie. Na środku polany stała mała grupa młodych, smukłych brzózek, których cienie rysowały się wzorzyście na żdźbłach skoszonej trawy. Nie daleko chylił się ku ziemi nawpół zapadły szałas z gałęzi; we wnętrzu jego widać było siano, a na niem siedziały dwie kawki. Hipolit Sergejewicz uważał je za zupełnie niepotrzebne i nieodpowiedne wśród tej małej, uroczej pustelni, otoczonej dookoła ciemnymi murami tajemniczo milczącego lasu. Kawki zaś spoglądały z ukosa na idących drogą ludzi, a w pozie ich leżała jakaś bezbojaźń i ufność — jak gdyby strzegły wstępu do szałasów i spełniały tak swój obowiązek.

— Czyście nie zmęczeni? — zapytał Hipolit Sergejewicz, z uczuciem blizkiem gniewu przyglądając się kawkom, poważnym i ponurym w swej nieruchomości.

— Ja, w przechadzce, zmęczona? — To nawet obraza dla mnie! Zresztą nie pozostało nam więcej nad jedną wiorstę drogi do miejsca, gdzie nas oczekują... Zaraz wejdziemy w las i droga pójdzie na dół.

Opowiadała mu, jak tam pięknie, dokąd idą,

a on czuł, jak go nawiedza miękkie, łagodne lenistwo, które nie dawało mu uważać na jej słowa.

— Tam jest las sosnowy; stoi na wysokiem wzgórzu i nazywa się Sawołową Grzywą. Są to olbrzymie sosny, których pnie nie mają gałęzi, tylko w górze ciemno-zielony baldachim. Cicho w tym lesie, tajemniczo... cała ziemia zasypana sosnowem szpilkowiem, a cały las zdaje się jakby zamieciony. Kiedy po nim chodzę, myślę zawsze o Bogu... wokół Jego ołtarza musi być tak samo tęskno... aniołowie nie wielbią go — to nie jest prawda! Po co mu pochwały? Alboż on nie wie sam, jaki jest wielki?

W głowie Hipolita Sergejewicza zabłysła nagle jasna myśl:

— A gdybym użył autorytetu dogmatu, aby podnieść wartość jej duszy?

Ale natychmiast odrzucił od siebie z dumą to mimowolne przyznanie się do swej słabości wobec niej. Byłoby nieuczciwością działać siłą, w której istnienie nie wierzył.

— Wy... nie wierzycie w Boga? — spytała nagle, jakby przenikając jego myśli.

— Czemu tak sądzicie?

— Tak, bo... bo wszyscy uczeni nie wierzą.

— Czemużby nie! — zauważył ironicznie; nie chciał z nią mówić dalej na ten temat, ale ona nie dawała spokoju.

— Więc nie wszyscy? Lecz jak to jest, kiedy

się nie wierzy? Proszę mi opowiadać o tych, którzy w niego nie wierzą... Ja nie pojmuję, jak można. Skądże więc wszystko powstało?

Milczał chwilę, usiłując zbudzić myśl, kołyszany słodko dźwiękiem jej słów. Potem zaczął mówić o powstaniu świata, jak on je pojmował:

— Potężne, niezbadane moce są wiecznie czynne, wzajemnie na się napierają, wytwarzając ustawicznym swym ruchem widzialny dla nas świat, w którym życie myśli i zdźbła trawy podlega jednemu i tym samym prawom. Ruch ten jest bez początku i bez końca będzie...

Dziewczyna słuchała go uważnie, prosząc często o wytłumaczenie tego lub owego. Tłumaczył jej z radością, widząc wysiłek myśli w jej obliczu. Ona myśli! myśli! lecz gdy skończył, milczała przez chwil kilka, poczem naiwnie zapytała:

— Ale nie zaczęliście tu przecież od początku! Bo na początku był Bóg! Więc jakże to? Tu się o nim po prostu nie wspomina, i to już znaczy, że się w niego nie wierzy?

Chciał coś odpowiedzieć, ale z wyrazu twarzy jej zrozumiał, że toby było bezowocne. — Wierzyła — o tem świadczyły jej oczy, mistycznym ogniem pałające. Cicho, trwożliwie mówiła mu o czemś dziwnem... Początku tego nie pochwycił.

— Kiedy spojrzysz na ludzi, i jak wszystko u nich wstrętne, a potem wspomnisz o Bogu i o sądzie ostatecznym, serce ci się w piersi ści-

ska. On przecież może w każdej chwili — dziś, jutro, za godzinę — zażądać zdania sprawy... A wiecie, chwilami zdaje mi się, że to wnet nastąpi! To będzie w dzień... i najpierw słońce zgaśnie... a potem wybuchnie płomień, a w płomieniu On się zjawi...

Hipolit Sergejewicz słuchał tej fantazyi i myślał:

— Jest w niej wszystko, z wyjątkiem tego, co by w niej być powinno...

Słowa jej wywołały bladość na jej twarzy, a w oczach przerażenie.

Szła długo w tym stanie przygnębienia, tak, że ciekawość, z jaką jej Hipolit Sergejewicz słuchał, zaczęła znikać, przechodząc w znużenie.

Lecz nagle pierzchło jej marzenie; doszedł ich głośny śmiech, skądś z bliska.

— Słyszycie? to Masza... otóż jesteśmy u celu! Przyspieszyła kroków, wołając:

— Masza, ahu!

— Czego ona krzyczy? — pomyślał Hipolit Sergejewicz z żalem.

Przyszli nad brzeg rzeki; urwisko spadało ku wodzie, a na nim rozrzucone były malowniczo wesołe grupy brzóz i jodeł. Na przeciwnym brzegu stały tuż u wody wysokie i milczące sosny, napęniając powietrze mocnym, żywicznym zapachem. Wszystko było tam ponure, nieruchome, jednostajne, owiane jakąś wzniosłą powagą;

a na tym brzegu chwiały smukłe brzozy swemi giętkimi gałązkami, nerwowo drżał srebrzysty liść dzikiej kaliny i drzewa orzechowe stały w pysznych grupach, zwierciadląc się w wodzie. Tam świecił żółty piasek, zasłany zeschłym igliwem; tu zieleń się pod stopami murawa, ledwie przedzierająca się przez żdzblał skoszone, a pod drzewami rozrzucone kopy pachniały świeżem sianem. Rzeka spokojna i chłodna odbijała te dwa światy tak do siebie niepodobne.

W cieniu jednej grupy brzoź rozesłany był jaśkrawy kobierzec. Stał na nim samowar, z którego wznosiły się lekkie obłoczki pary i sinego dymu, a przy nim przysiadłszy, krzątała się Masza z czajnikiem w ręku. Twarz jej była rumiana, szczęśliwa, włosy mokre.

— Kapałaś się? — spytała Warenika — A gdzie jest Grzegorz?

— Pojechał się też kąpać. Zaraz już powróci.

— Nie potrzebuję go. Chcę jeść, pić i... jeść i pić! Nic więcej! A wy, Hipolicie Sergejewiczu?

— Nie odmówię... — odparł z uśmiechem.

— Żywo, Masza!

— Co każecie najpierw? Kurczęta, pasztet?...

— Wszystko razem i możesz się ulotnić! Może cię ktoś oczekuje.

— Miałby też kto... — cicho chichotała Masza, wpatrując się w nią wdzięcznymi oczyma...

— No, dobrze już, zmykaj!

— Jak to u niej wszystko idzie naturalnie — myślał Hipolit Sargejewicz, zabierając się do kurcząt. — Miałyżby jej i szczegóły i znaczenie takich stosunków być znane? Bardzo prawdopodobne; bo na wsi wszystko w tej sferze takie otwarte i brutalne.

— Poczekajno! On cię już poskromi! — groziła.

— Oh, ho! Długo będzie czekał!... Wiecie, panienko, ja go... — i zakryła sobie twarz fartuszkciem, chwiejąc się aż na nogach w przystępie niepowstrzymanego śmiechu. — Po drodze straciłam go do wody!

— No! zuch z ciebie! A on co?

— On płynął za łódką... i... i prosił mnie wciąż... abym go... wpuściła... a ja... rzuciłam mu sznur z łódki,...

Zaraźliwy śmiech dwóch kobiet zniewolił i Hipolita Sargejewicza do głośnego śmiechu. Śmiał się, nie dlatego, że sobie wyobrażał pływającego za łódką Grzegorza, ale dlatego, że czuł się dobrze. Napełniało go uczucie swobody, i chwilami zdawało mu się, że sam sobie przygląda się z daleka i widzi, że się nigdy przedtem nie śmiał z taką swobodną wesołością, jak wtedy.

Wnet Masza znikła, i znowu pozostali sami z sobą.

Warenika, nawpół leżąc na kobiercu, piła herbatę; Hipolit Sargejewicz spoglądał na nią jakby przez mglisty pół-sen...

Wokół nich była cisza, tylko samowar śpiewał smętną melodyjkę, i od czasu do czasu zaszeleściło coś w trawie.

— Czemuście tacy milczący? — zapytała Warrenika, patrząc nań troskliwie. — Może się nudzicie?

— Nie, dobrze mi — odrzekł powoli — ale mówić jakoś się nie chce.

— I mnie także tak — rzekła dziewczyna, ożywając się. — Kiedy jest tak cicho, okropnie nie lubię mówić. Nie wiele można słowami wyrazić; bo są uczucia, dla których słów nie można znaleźć. I kiedy się mówi: cisza — to napróżno; o cichy nie można mówić, by równocześnie jej nie przerwać ... nie prawdaż?

Milczała chwilę, patrząc na las sosnowy i wskazując nań ręką, rzekła z łagodnym uśmiechem:

— Patrzcie, sosny wyglądają, jakby się czemuś przysłuchiwały. Tam wśród nich jest tak cicho — tak cicho ... czasem zdaje mi się, że najlepiej żyć w takiej ciszy ... Ale i wśród burzy dobrze — ach, jak dobrze! Czarne niebo, gniewne błyskawice, ciemność ... a wicher wyje ... wtedy wyjść na pole i tam stać i śpiewać — głośno śpiewać, lub w deszczu biedz przeciw wichrowi ... tak i w zimie. Raz, wiecie, podczas zamieci zabłądziłam się i omal nie zamarzłam.

— Opowiedzcie, jak to było — prosił. Słuchał jej z przyjemnością; zdawało mu się, że mówi

obcym dla niego językiem, ale dobrze zrozumiałym.

— Jechałam raz z miasta późną nocą — zaczęła — przysuwając się doń bliżej i patrząc nań łagodnie uśmiechniętem okiem. — Powoził Jakowlew, taki stary, surowy chłop. Nagle powstała straszna zamieć, trąba śnieżna z okropną siłą toczyła się wprost ku nam. Gwałtowny jeden podmuch wichru i cała chmura śniegu uderza na nas z taką mocą, że konie cofają się wstecz, a Jakowlew z kozła wylatuje w górę. Wszystko wokoło wre jak w kotle, a my siedzimy w zimnej pianie. Jechaliśmy, jechali, w tem patrząc: Jakowlew ściąga czapkę i żegna się. — Cóż tobie? — Módlcie się, panienko, do naszego wszechmocnego Ojca i do św. Barbary, męczennicy, ona chroni przed niespodziewaną śmiercią. — Mówił po prostu, bez bojaźni, tak, że i ja nie przestraszyłam się. Pytam: — czyśmy zbłądzili? — Tak — mówi. — Ale może się jeszcze wydostaniemy? — Jakże? — powiada — wydostać się z takiej zawieruchy? Ot, opuszczę cugle, może konie same znajdą drogę. Ale pamiętajcie o Bogu! On jest bardzo pobożny, ten Jakowlew. — Konie potknęły się i stanęły, a nas powoli śnieg zasypuje. Zimno było! Śnieg ciął w twarz! Jakowlew zstąpił z kozła i przysiadł się do mnie, by nam obojgu było cieplej; owinęliśmy sobie głowy kapą, która leżała w saniach, ale po chwili nagromadziło się na niej tyle śniegu, że zaczęła

nas swoim ciężarem przygniatać... Ja siedziałam i myślałam sobie: Otóż teraz zginęłam! Nie zjem już tych cukierków, które wiozę z miasta... Ale się nie bałam, bo Jakowlew przez cały czas ze mną rozmawiał. Przypominam sobie, jak mówił: — Żal mi was panienko? Za co tak macie zginąć? — Ale i ty przecież też zamarzniesz? — O mnie to już mniejsza, już przyżyłem swoje, ale panienka... — i wciąż mówił o mnie. On mnie bardzo lubi, czasem nawet łaje; on tak, wiecie, gniewnie burczy: — Ach, ty bezbożnico! ty szalona głowo! zuchwała wietrznico! — Zrobiła surową minę i mówiła te słowa basem i przeciągle. Wspomnienie o Jakowlewie oderwało ją od opowiadania, i Hipolit Sergejewicz musiał zapytać:

— Jakżeście znaleźli drogę?

— Aha!... Konie zziębły i poszły same. Szły — szły, aż doszły do wioski, oddalonej o trzynaście wiorst od naszej. Nasza wieś — wiecie — blisko stąd — ze cztery wiorsty. Idąc tak wzdłuż brzegu, potem ścieżką na prawo do lasu, wychodzi się na drogę, skąd już widać nasz dwór. Ale drogą stąd będzie może dziesięć wiorst.

Kilka zuchwałych ptasząt przelatywało obok nich i siadając na gałązkach krzaków, szczebiotały żywo, jakgdyby dzieliły się wzajemnie wrażeniami odebranymi od tych dwojga samotnych w lesie ludzi.

Zdała dochodził śmiech, rozmowa i plusk wio-

seł. Zapewne Grzegorz i Masza wiosłowali tam po rzece.

— Możebyśmy ich zawołali i przejechali się na tamtą stronę w sosny? — zaproponowała Warenika.

Zgodził się, a ona zwinawszy rękę w trąbkę, przyłożyła ją do ust i zaczęła wołać:

— Płyńcie tu — uta — aj!

Od krzyku wzduęły się jej piersi, a Hipolit Sergejewicz zachwycał się nią, milcząc. Powinien był o coś pomyśleć — o coś poważnem — czuł to — ale nie chciało mu się myśleć, i słabe wezwanie rozumu nie przeszkadzało mu w spokojnem i swobodnem poddawaniu się silniejszemu głosowi — uczucia.

Łódka podpłynęła. Twarz Grzegorza była filuterna i zakłopotana, Masza udawała gniew. Ale gdy Warenika, wsiadając do łódki, spojrzała na nich i wybuchła śmiechem — roześmiali się i oni oboje, zmieszani i szczęśliwi.

— Wenus i jej ulubieni niewolnicy — pomyślał Hipolit Sergejewicz.

W sosnowym lesie było uroczyście cicho, jak w świątyni. Strzeliste pnie stały jak kolumny, wspierając ciężkie sklepienie ciemnej zieleni. Ciepły i mocny zapach żywicy napełniał powietrze, a pod stopami chrzęściło suche szpilkowie. Przed nimi, za nimi, po ich obu stronach z boku, wszędzie stały czerwone sosny — i tylko tu i ówdzie u korzeni

przezierała blada zielen przez pokłady szpilek. A w tej ciszy, w tem milczeniu snuło się zwolna dwoje ludzi, ustępując to w prawo, to w lewo przed zagradzającymi im drogę drzewami.

— Nie zabłądzimy? — zapytał Hipolit Sergejewicz.

— Ja — i zabłądzić? — rzekła Warenika ze zdumieniem. Ja wszędzie znajdę właściwy kierunek... trzeba tylko popatrzeć na słońce.

Nie pytał, jak jej słońce pokazuje drogę; nie pragnął w ogóle rozmowy, chociaż czuł niekiedy, że miałby jej wiele do powiedzenia. Lecz były to tylko wewnętrzne przebłyski pragnienia, nie sięgające powierzchni jego spokojnego usposobienia; po sekundzie gasły, nie wywołując najmniejszego niepokoju.

Warenika postępowała obok niego; na obliczu jej widział odbłask cichego zachwyty.

— Ładnie tu? — pytała czasem z łagodnym uśmiechem na ustach.

— Tak — bardzo! — odpowiadał krótko; i znowu szli po lesie w milczeniu.

Jemu się zdawało, że jest młodzieńcem idealnie zakochanym, któremu obce są wszelkie chęci grzeszne i wewnętrzne walki. Lecz za każdym razem, ilekroć rzucił okiem na plamy błota na jej sukni — cień jakiś tajemniczy padał mu na duszę. I sam tego nie rozumiał, jak się to stało, że raz w chwili, gdy cień mu tak świadomość omroczył,

westchnął głęboko, jakby staczając z siebie wielki ciężar:

— Jaka z was piękność!

Spojrzała nań zdumiona:

— Co wam jest? Milczycie — milczycie — i nagle!

Hipolit Sergejewicz uśmiechnął się słabo, rozbroyony jej spokojem.

— Tak... wiecie... dobrze tu... Las jest piękny... a wy tu w nim... jak nimfa... albo... wy bogini, a las waszą świątynią...

— Nie — odparła z uśmiechem — to nie jest mój las; rządowy; nasz las leży po tej stronie, w dół rzeki.

I ręką pokazała w tę stronę.

— Zartuje — albo nie rozumie — pomyślał Hipolit Sergejewicz, i ogarnęło go uporne pragnienie mówienia jej o jej piękności. Lecz ona była spokojna, zamysłona — i to powstrzymywało go przez cały czas przechadzki.

Szli jeszcze długo, ale mało mówili; bo miękkie, spokojne wrażenia tego dnia owiały ich dusze słodkiem znużeniem, w którym usnęły wszystkie pragnienia, oprócz chęci cichego rozmyślenia o czemś niedającym się wyrazić w słowach.

Powróciwszy do domu, dowiedzieli się, że Elżbiety Sergejewny dotąd jeszcze niema i zasiedli do herbaty, którą Masza pospiesznie przygotowała. Warenika zaraz po herbacie odjechała do domu;

wyjednawszy u niego obietnicę, że wraz z Elżbietą odwiedzi ją na jej dworze.

Odprowadził ją, a kiedy wrócił na taras, pochwycił się na jakimś tęsknem uczuciu, jak gdyby coś niezbędnego utracił. Siadł przy stole, na którym stała jeszcze jego szklanka herbaty i postanowił surowo się ze sobą rozprawić, by stłumić tę grę pobudzonych w ciągu dnia uczuć. Ale uczuł litość nad sobą samym, i wyrzekł się wszelkich operacyi na sobie.

— Po cóż? — myślał. — Alboż to wszystko na seryo? — Igraszka — i nic więcej. To jej nie zaszkodzi — nie może jej zaszkodzić, choćbym nawet sam chciał. To mi się trochę niepozwała wyżyć... ale jest w tem coś młodzieńczego, pięknego...

Potem przypomniał sobie swoje silne postanowienie rozwijania jej ducha i nieudane próby — i uśmiechał się pobłaźliwie.

— Nie, widocznie trzeba z nią inaczej mówić. Takie pierwotne natury raczej skłonne są do zrezygnowania ze swojej bezpośredniości wobec metafizyki, podczas gdy przed logiką osłaniają się pancerzem swego ślepego, prymitywnego uczucia... Szczególna dziewczyna!

Siostra zastała go jeszcze pogrążonego w myślach o niej. Przyjechała szumna i ożywiona. Nie widział jej taką jeszcze nigdy. Kazała Maszy dorzucić węgla do samowaru, usiadła naprzeciw niego i zaczęła mu opowiadać o Beńkowskich:

— Ze wszystkich szczelin ich starego domu wyzierają srogie oczy nędzy w zwycięskim tryumfie. W domu — zdaje się — niema ani jednej kopiejki ani żadnych zapasów. Na obiad posyłali do wsi po jaja. Mięsa nie było — a stary Beńkowski mówił dlatego bardzo wiele o wegetaryanizmie i o możliwym moralnym przewrocie ludzkości na tym podkładzie. Czuć u nich rozkład — wszyscy są tacy źli — zdaje się — z głodu. Pojechałam do nich z projektem, aby mi sprzedali kawał gruntu, wrzynający się w moją posiadłość.

— Po cóż to? — zapytał zaciekawiony Hipolit Sergejewicz.

— Ba, dla ciebie moje pobudki będą zapewne ledwie zrozumiałe. Wyobraź sobie, że czynię to ze względu na moje przyszłe dzieci — rzekła z uśmiechem. — No jakżeś spędził czas?

— Przyjemnie.

Milczała chwilę, przypatrując mu się nieznacznie.

— Wybacz mi pytanie — czy sie nie lękasz wpływu Wareniki?

— Czegoż tu się lękać? — zapytał z niepojętą sobie ciekawością.

— Tego, że można się dać unieść na łeb na szyję...

— No — do tego ja się nawet nie nadaję... odparł sceptycznie, łudząc się, że mówi prawdę.

— A, jeśli tak, to świetnie. Trochę — nieza-

szkodzi — bo zresztą jesteś nieco za suchy — za poważny na twoje lata... I, prawdę mówiąc, będę rada, jeśli ona cię nieco rozrusza... Możebyś częściej ją widywał?

— Wzięła odemnie słowo, że przyjadę do nich i kazała cię prosić... — oświadczył Hipolit Sergejewicz.

— Kiedy chcesz pojechać?

— Wszystko jedno... Kiedy ci wygodnie. Jesteś dziś w dobrym humorze.

— Czy to wpada w oko? — spytała, śmiejąc się głośno. — No cóż? Dobrze dzień spędziłam. Wogóle... boję się, że ci się to wyda cynizmem... ale rzeczywiście... od dnia pogrzebu mego męża czuję po prostu nowe życie... Jestem egoistka — pewnie! Ale to jest ten wesóły egoizm człowieka, wypuszczonego na wolność z więzienia. ... Sądź mnie, ale sprawiedliwie...

— Ileż tłumaczeń z powodu takiej drobnostki! Wesolaś — to i ciesz się... — rzekł Hipolit Sergejewicz z przyjaznym uśmiechem.

— A ty dzisiaj jesteś dobry i miły — rzekła. — Widzisz — trochę szczęścia — a człowiek zaraz staje się lepszym i życzliwszym. A niektórzy zbyt mądrzy ludzie znajdują, że nas cierpienia uszlachetniają... Życzyłabym im, aby życie do nich zastosowało tę teorię, aby uwolnić ich od tego błędnego pojęcia...

— A jeśliby Warenikę skazano na cierpie-

nia?... Coby się z nią stało? — zapytał samego siebie Hipolit Sergejewicz.

Wkrótce rozeszli się. Ona — poszła grać; a on — udał się do swego pokoju, położył się i utonął w myślach. — Jakie też wyobrażenie miała o nim ta dziewczyna? Czy uważa go za przystojnego? Czy za mądrego? Pod jakim względem może się jej podobać? — Coś ją ku niemu ciągnie — to widoczna... Lecz w oczach jej niekoniecznie uchodzi za mądrego i uczonego człowieka. Ona tak łatwo odrzuca wszystkie jego poglądy, teorye, poczenia. Prawdopodobnie podoba się jej tylko po prostu jako mężczyzna.

I doszedłszy do tego wniosku, promieniał Hipolit Sergejewicz dumą i radością. Z przymkniętymi oczyma i uśmiechem rozkoszy na ustach wyobrażał sobie tę dziewczynę pokorną, uległą, gotową dlań na wszystko i błagającą go wstydliwie, aby ją wziął i nauczył myśleć, żyć i kochać...

*

*

*

Powozik Elżbiety Sergejewny zatrzymał się przed domem pułkownika Olessowa. Na schodkach ganku zjawiała się chuda, długa postać kobieca w szarym negliżu, i dał się słyszeć głos basowy, ostro »r« wymawiający:

— A—a! To raz radosna niespodzianka!

Hipolit Sergejewicz aż wzdrygnął się przy tem przywitaniu, podobnem do ryczenia.

— Mój brat Hipolit — przedstawiła Elżbieta Sergejewna, pocałowawszy się z kobietą.

— Małgorzata Rodionówna Łuczycka.

Pięć kościstych zimnych palców ścisnęło jak kleszcze rękę Hipolita Sergejewicza; dwoje błyszczących szarych oczu spoczęło na jego twarzy, poczem ciocia Łuczycka rzekła swym basowym głosem, markując dobitnie każdą zgłoskę, jakby je liczyła i bała się coś zbytecznego powiedzieć.

— Bardzo mnie cieszy to poznanie:

Potem usunęła się na bok i ręką odtrąciła drzwi wiodące do pokoju:

— Proszę.

Hipolit Sergejewicz przestąpił próg, a na spotkanie jego zabrzmiał skądś ochrypły kaszel i rozdrażniony głos:

— Niech dyabli porwą twoją głupotę! Idź zobacz i powiedz, kto przyjechał!...

— Idźże, idź! — zachęcała Elżbieta Sergejewna brata, widząc, że się niezdecydowany zatrzymał. — To pułkownik krzyczy... To my, pułkowniku!

W pośrodku wielkiej niskiej izby stał masywny fotel, w który wparte siedziało wielkie obrzmiałe ciało z czerwoną zwiędłą twarzą, okrytą siwym meszkiem. Górna część tej masy poruszała się ciężko, chrapiąc dychawicznie. Z poza krzesła

okazywały się ramiona wysokiej, otyłej kobiety, która mętnemi oczyma spoglądała w twarz Hipolita Sergejewicza.

— Cieszę się, że was widzę... Wasz brat?... Pułkownik Wasyl Olessów... bił Turków i Tekińców, a teraz sam pobity chorobami... Ko — cho — cho! — Cieszę się, że was widzę... Mnie Barbara już przez całe lato bębni w uszy o waszej uczoności, o waszym rozumie i podobnych innych rzeczach... Proszę tu — do salonu... Fiekła — suwaj!

Przenikliwie zazgrzytały kółka fotelu, pułkownik pochylił się naprzód, opadł w tył i zaczął się zanosić od ochrypłego kaszlu, przyczem tak rzucał głową, jakby chciał ją precz odrzucić.

— Skoro pan kaszle — stawaj! Nie mówiłam ci już tego tysiąc razy?

I ciocia Łuczycka, chwyciwszy Fiekłę za ramię, prawie do ziemi ją przygniotła.

Połkanowie stali i czekali, aż się wykaszle masywne, chwiejące się cielsko Olessowa.

W końcu poszli dalej i znaleźli się w małym pokoiku, gdzie było duszno, ciemno i ciasno z powodu nadmiernej ilości mebli w płóciennych pokrowcach.

— Proszę się rozgościć... Fiekła — pospiesz po panienkę — zakomenderowała ciocia Łuczycka.

— Elżbieto Sergejewna, gołąbko moja, takem rad, że was widzę! oświadczył pułkownik, spo-

glądając na gościa z poza siwych brwi, zrosłych u górnej części nosa, okrągłemi oczyma puhacza. Nos pułkownika był wielki prawie do śmieszności, a koniec jego siny i błyszczący krył się posepnie w siwej szczeci wąsa.

— Wiem, żeście mi radzi, równie jak i mnie to cieszy, że was widzę... — odrzekł gość przyjaźnie.

— Cho — cho — cho! To — przepraszam — nieprawda! Cóż w tem za przyjemność, widzieć sparaliżowanego podagrą i cierpiącego na nienasycone pragnienie wódki? Tak przed dwudziestu pięciu laty można się było rzeczywiście cieszyć na widok Waśki Olessowa... i wiele kobiet się cieszyło... a teraz ani wy mnie, a ja wam potrzebny... Ale gdy wy jesteście, to mi dadzą wódki — i tylko dlatego rad jestem że was widzę!

— Nie mów tak dużo, bo się znów zakaszlesz... — odrzekła Małgorzata Rodionówna.

— Słyszeliście? — zwrócił się pułkownik do Hipolita Sergejewicza. — Mówić mi nie wolno — to szkodzi; pić — szkodzi; niech to dyabli porwą! A ja wiedzą — że i życie mnie — szkodzi! Cho — cho — cho! Jużem się wyżył... nie życzę wam, byście kiedyś mieli tak o sobie mówić... Zresztą umrzecie pewnie prędko... wpadniecie w suchoty... pierś macie niemożliwie wąską...

Hipolit Sergejewicz patrzył to na niego, to na ciotkę Łuczykę i myślał o Warenice:

— Ależ wśród jakich potworów ona żyje?

Nigdy nie starał się wyobrazić sobie otoczenia, wśród którego życie pędzi, więc to, co teraz widział, wprost go przytłoczyło.

Surowa, kończąca chudość cioci Łuczyckiej raziła boleśnie jego oczy; nie mógł patrzeć na jej długą szyję powleczoneą żółtą skórą, i ile razy zaczynała mówić, ogarniało go coś w rodzaju trwogi, jak gdyby się lękał, aby jej basowy głos nie zerwał jej szerokiej, lecz jak deska płaskiej piersi, skąd się wydobywał. Szelest sukien jej robił na nim wrażenie, jakby się ocierały o siebie jej kości. Pułkownika czuć było spirytusem, potem i tytoniem — lichym. Sądząc po blasku jego oczu, często — widocznie — się unosił. Przedstawiając go sobie w przystępie takiego rozdrażnienia, odczuwał Hipolit Sergejewicz wstręt do tego starca.

W pokoju było nieprzyjemnie; tapety na ścianach były okopcone, a kafle pieca upstrzone szczelinami, co nadawało im prawie podobieństwo do marmuru. Farbę olejną z posadzki starło kilka foteli, ramy u okien były krzywe, szyby mętne. Na wszystkim leżał wiew starzyny, rozkładającej się wśród życiowego znużenia.

— Ależ to dziś duszno — rzekła Elżbieta Sergejewna.

— Będzie deszcz — odezwała się kategorycznie Łuczycka.

— Rzeczywiście? — powątpiewała Elżbieta Sergejewna.

— Wierzcie temu, co mówi Małgorzata — mruzczał stary. — Ona wszystko wie, co będzie... Codziennie o tem mnie zapewnia... Ty — powiada — umrzesz, a Warijkę ograbią i złamią... Widzicie?... Ja się z nią sprzeczam: — Córka pułkownika Olessowa nikomu tak łatwo nie da się złamać... ona to zrobi sama! A że ja umrę — to prawda... to znaczy: tak być musi. A wy, panie uczony, jak się tu czujecie? tu nudy do szczęścia, co?

— Nie, dlaczegóżby? Piękna leśna okolica — odparł uprzejmie Hipolit Sergejewicz.

— Piękna okolica... tu? Ho — ho! To znaczy, żeście nic pięknego na ziemi nie widzieli. Piękna — jest dolina Kazaułyka w Bułgarii... pięknie — na Chersoniu: na Murgabie są miejscowości jak w raju... Ah! moje drogie dziecię!...

Warenika wniosła ze sobą zapach świeżości w duszne powietrze salonu. Postać jej otulona była w wolną, jasno-liliową suknię, która przypominała grecki chlamis; w rękach miała duży bukiet tylko co ściętych kwiatów, a oblicze jej jaśniało zadowoleniem.

— Jak dobrze, żeście właśnie dzisiaj przyjechali! — mówiła jednym tchem witając gości: — Jużem się do was wybierała... Oni mnie strasznie tu męczyli!

I szerokim ruchem ręki wskazała na ojca i Małgorzatę Rodionównę siedzącą obok Elżbiety Sergejewny tak nie naturalnie sztywnie, jak gdyby kręgosłup jej skamieniał i nie mógł zgiąć się.

— Pleciesz, Barbaro! — zgaśniła surowo młode dziewczę, błyskając oczyma.

— Proszę nie łąać! A nie, to opowiem Hipolitowi Sergejewiczowi o poruczniku Jakowlewiew i jego ognistem sercu...

— Cho — cho — cho! Warijko — cicho! Ja sam opowiem...

— Dokąd ja się dostałem? — rozmyślał Hipolit Sergejewicz, patrząc na siostrę ze zdumieniem.

Ale jej, widocznie, było już to wszystko znane i chociaż uśmiech pogardliwy drżał w kącikach ust jej, patrzyła i słuchała spokojnie.

— Idę kazać herbatę przygotować! — oznajmiła Małgorzata Rodionówna, podniosła się w prostej linii, nie zginając grzbietu i znikła, rzuciwszy na pułkownika spojrzenie pełne wyrzutu.

Warenika siadła na swoim miejscu i poczęła coś na ucho szeptać Elżbiecie Sergejewnej.

— Co też ona ma za upodobanie do szerokich sukien — myślał Hipolit Sergejewicz, obserwując z ukosa jej postać, w pięknej pozie skłonioną ku siostrze.

A pułkownik mruczał głucho jak wygrany bas:

— Wy pewnie wiecie, że Małgorzata jest żoną

mego towarzysza, majora Łuczyckiego, który padł pod Eski-Zagre? Ona z nim odbyła kampanię, tak! Energiczna — wiecie — kobieta. No i otóż był w naszym pułku porucznik Jakowlew, taka sobie — wiecie — delikatna panienka... Raz mu turecki oficer roztrzaskał pierś kolbą — galopujące suchoty — i kaput! A kiedy leżał chory, ona pielęgnowała go przez pięć miesięcy! A? jak się wam to podoba? I dała mu, wiecie, słowo, że nigdy już nie wyjdzie za mąż. Młoda była — piękna — bardzo efektowna! Smalono jej cholewki, nawet poważnie smalili cholewki dostojni ludzie... Kapitan Szmurło na przykład — taki miły małorus — rozpił się nawet i skwitował ze służby. Ja — także... to znaczy — też jej robiłem propozycye: — Małgorzato! powiadam — wyjdź za mnie! ...nie chciała... bardzo głupio, ale naturalnie bardzo szlachetnie! A gdy mnie podagra chwyciła, zjawiła się zaraz i mówi: — ty sam jesteś i ja sama... i tak dalej... Wzruszające i święte! Przyjaźń na zawsze i codzienna kłótnia. Każdego lata tu zjeżdża, chce nawet dobra swoje sprzedać i przenieść się tu na zawsze, to znaczy: do mojej śmierci. Ja to cenię — ale to wszystko śmieszne jest — tak! Cho — cho — cho! Bo to była ognista kobieta i, widzicie, jak się ten ogień strawił? Nie igraj z ogniem... cho — cho! Ona, wiecie, martwi się, kiedy się opowiada o tej — jak ona mówi — poezyi jej życia... Nie wąż się, powiada, grzesznym twoim językiem

znieważać świętości mego serca! och? Cho—cho—cho! Ale w istocie rzeczy — co za świętość? Zbożenie umysłu, marzenia pensyonarki... Życie jest proste — nie prawdaż? Użyj go i umrzyj w swoim czasie — otóż i cała filozofia! Tylko... umieraj w swoim czasie! Ja spóźniłem termin, to jest złe, nie życzę wam tego...

Hipolitowi Sergejewiczowi zamąciło się w głowie od tego opowiadania i zapachu, który pułkownik szerzył wkoło siebie.

A Warenika, nie zwracając na niego uwagi i nie rozumiejąc zapewne, jak mało przyjemne jest mu towarzystwo jej ojca, rozmawiała półgłosem z Elżbietą Sergejewną, która jej się pilnie i poważnie przysłuchiwała.

— Proszę na herbatę! — rozległ się we drzwiach bas Małgorzaty Rodionówny. — Barbaro zawieź ojca!

Hipolit Sergejewicz odetchnął lżej i poszedł za Wareniką, która z lekkością posuwała przed sobą ciężki fotel.

Stół do herbaty zastawiony był po angielsku mnóstwem zimnych przekąsek. Wielki soczysty rostbef otoczony był rzędem flaszek wina, co wywołało u pułkownika śmiech zadowolenia. Zdawało się, jakby jego nawpół martwe nogi, owinięte w niedźwiedzią skórę, drgnęły w przedsmaku rozkoszy. I zanim jeszcze do stołu dojechał, wyciągnął ku flaszkom drżące swe, spuchłe ręce, poro-

słe gęsto ciemnym włosem i głośnym śmiechem wstrząsał powietrzem wielkiej jadalni, zastawionej plecionymi krzesłami.

Herbata trwała męcząco długo, a przez cały czas opowiadał pułkownik ochrypłym głosem wojskowe anegdoty. Małgorzata Rodionówna krótko i głębokim swym ryczącym głosem dorzucała do tego swoje uwagi, a Warenika cicho ale żywo rozmawiała z Elżbietą Sergejewną.

— O czym ona rozmawia — myślał z utęsknieniem Hipolit Sergejewicz, pozostawiony na ofiarę dla pułkownika.

Zdawało mu się, że za mało zwracała na niego dziś uwagi. Co to jest? — Kokieterya? I czuł, że byłby zdolny na nią się rozgniewać. Lecz ona spojrzała nagle w jego stronę i uśmiechnęła się pogodnie.

— To zapewne siostra zwróciła jej uwagę na mnie — pomyślał Hipolit Sergejewicz i z niezadowolaniem ściągnął brwi.

— Hipolicie Sergejewiczu! Wypiliście już herbatę? — zapytała Warenika.

— Tak, już...

— Przejdziemy się? Pokażę wam wspaniałe miejsce.

— Chodźmy. A ty, Lizo, pójdziesz?

— Ja — nie! Mnie przyjemnie posiedzieć z Małgorzatą Rodionówną i z pułkownikiem.

— Cho - cho — cho! Przyjemnie — stać u skra-

ju mego grobu, dokąd się moje nawpół martwe ciało zwala! — śmiał się pułkownik. — Poco tak mówić?

Zaraz mnie zapyta: — Czy wam nudno u nas? — pomyślał Hipolit Sergejewicz, idąc z Wareniką przez pokoje do ogrodu.

Ale ona zapytała go:

— Jak się podoba wam mój ojciec?

— O! — zawołał cicho Hipolit Sergejewicz. — On wzbudza poszanowanie.

— Aha! — rzekła Warenika z zadowoleniem. — Tak mówią wszyscy. On okrutnie dzielny! Wiecie, on nie mówi sam o sobie, ale ciocia Łuczycka — ona przecież z nim z jednego pułku — opowiadała, że pod Górnym Dubniakiem kula koniowi jego roztrzaskała nozdrza, i koń poniosł go wprost na Turków. A Turcy właśnie atakowali; udało mu się jednak zawrócić — i galopował po przed frontem; koń naturalnie legł, a on pada i patrzy: rzuca się na niego czterech!... Jeden na niego uderza i zamierza się kolbą, a ojciec — cap! go za nogę, zwałił go i wprost mu w twarz z rewolweru — puf! Wyciągnął nogę z pod konia — a tu jeszcze trzech nadbiega, a tam za nimi jeszcze inni, a nasi żołnierze pędzą mu naprzeciw z Jakowlewem... wiecie, kto to?... Ojciec chwyta karabin zabitego, wskazuje na nogi i — naprzód! Ale był okropnie silny — omal tego życiem nie przeplacił. Trzasnął raz Turka przez głowę i złamał karabin; została

mu tylko szabla, ale była tępą i kiepską. A Tur-
rek już zamierza się bagnetem w pierś. Wtedy
ojciec chwycił ręką za ramię jego karabinu i pę-
dzi do swoich, wlokąc ze sobą Turka. W tej chwili
dostał kulą w bok i cios od bagnetu w szyję.
Widział, że przepadł; zwrócił się twarzą ku nie-
przyjacielowi, wyrwał Turkowi karabin z rąk i na
nich z jednym — hurra! A tu Jakowlew nadleciał
ze swoimi żołnierzami, i ci tak dzielnie ruszyli
naprzód, że Turcy pouciekali. Ojcu za to dali
krzyż Grzegorza, ale on gniewał się, że nie dano
Grzegorza jednemu podoficerowi z jego pułku,
który w tej potyczce dwa razy ocalił życie Jako-
wlewowi a raz ojcu, i nie przyjął krzyża. A kiedy
go dali podoficerowi — i on wziął.

— Opowiadacie o tej potyczce, jak gdybyście
w niej sami udział brali — zauważył Hipolit Ser-
gejewicz, przerywając jej.

— Taak... — rzekła przeciągle, westchnęła
i zmrużyła oczy.

— Podobą mi się wojna... i jeśli wojna wy-
buchnie, pójdę jako siostra miłosierdzia.

— A ja wtedy zgłoszę się do wojska.

— Wy? — zapytała, mierząc jego postać. —
No, żartujecie... Kiepski byłby z was żołnierz...
Słabiście... wągli...

Dotknęło go to.

— Dość jestem silny, proszę mi wierzyć —
zawołał jakby przestrzegając.

— Ale, gdzieżtam? — rzekła Warenika spokojnie, ciągle mu nie wierząc.

Zapłonęło w nim szalone pragnienie, by ją chwycić w ramiona i z całej siły przycisnąć do siebie, tak aby jej aż łzy stanęły w oczach. Szybko rozglądnął się dokoła, wzdrygnął się i ze wstydem zamiar swój porzucił.

Szli ogrodem po ścieżce obsadzonej regularnymi rzędami jabłoni. Poza nimi na końcu drożyny widać było okno domu. Z drzew spadały jabłka, uderzając głucho o ziemię; a gdzieś z pobliza dochodziły głosy, jeden pytał: — On pewno do nas w konkury przyjechał? A drugi głos złośliwie wymyślał.

— Poczekajmy... — Warenika chwyciła swego towarzysza za rękaw, zatrzymując go. — Posłuchajmy, co oni o was mówią!

Spojrzał na nią zimno i odparł:

— Nie lubię podsłuchiwać rozmowy służących...

— A ja lubię — oświadczyła Warenika. — Między sobą zawsze ciekawie mówią o nas, jako swoim państwie...

— Może być, że ciekawie, ale mniej dobrze... — rzekł Hipolit Sergejewicz z drwiącym uśmiechem.

— Czemużby? O mnie zawsze dobrze mówią.

— Gratuluję...

Odczuwał silnie złośliwą potrzebę mówienia z nią w tonie ostrym i szorstkim, któryby ją dot-

knął. Oburzało go dziś jej postępowanie. W pokoju długo nie zwracała na niego uwagi, jak gdyby nie rozumiała, że przyjechał ze względu na nią i do niej, a nie do jej beznogiego ojca i wysuszonej ciotki, potem orzekła, że jest słaby i zaczęła go litośnie traktować.

— Co to wszystko ma znaczyć? jeżeli zewnętrznie jej się nie podobam, i nie zajmuję jej moją stroną wewnętrzną — co ją więc do mnie ciągnie? Nowa twarz i... więcej nic?

Wierzył w swoją siłę przyciągania i myślał, że ma do czynienia z kokieterią, która zręcznie ukrywa się pod maską naiwności i szczerości.

— Może uważa mnie za głupca... i spodziewa się, że zmądrzeję?...

— Ciocia ma słuszość — będzie deszcz! — rzekła Warenika, patrząc w dal. — Patrzcie, jaka chmura... i robi się duszno, jak zawsze przed burzą...

— To jest rzecz nie miła — rzekł Hipolit Sergejewicz. — Trzeba wrócić i przestrzedz siostrę...

— Poco?

— Aby jeszcze przed deszczem powrócić do domu.

— A ktoby was puścił? Nawet nie zdążycie przed burzą zajechać do domu... Musicie tu przeczekać.

— A jeśli deszcz przeciągnie się do nocy?

— Przenocujecie u nas — rzekła Warenika kategorycznie.

— Nie, to niewygodne — protestował Hipolit Sergejewicz.

— Mój Boże! alboż to tak trudno przepędzić jedną noc niewygodnie?

— Ja nie myślę o swojej wygodzie...

— A o drugich proszę się nie troszczyć; każdy sam musi dbać o siebie.

Sprzeczała się i szła naprzód, a im naprzeciw nadciągała na niebie szybko ciemna chmura i gdzieś w dali głucho warczał grzmot. Ciężka duszność szerzyła się w powietrzu, jak gdyby zbliżająca się chmura, zgęszczając w sobie cały żar tego dnia, goniła ją przed siebie. I w gorącym pragnieniu odświeżającej wilgoci, wisiały na drzewach liście jakby odrętwiałe.

— Wrócimy? — zaproponował Hipolit Sergejewicz.

— Tak jest, duszno... Nie lubię czasu wyprzedzającego jakiekolwiek zdarzenie... przed burzą, przed świętami... Sama burza albo święta — to dobre, ale czekać ich nadejścia — to nudne. Gdyby tylko wszystko chciało przyjść odrazu... Położysz się spać — zimno i mróz; zbudzisz się — wiosna, kwiaty, słońce... albo — słońce świeci i nagle... ciemność, grzmot i ulewa.

— Możebyście też chcieli, aby się człowiek

tak nagle, niespodzianie zmieniał? — zapytał Hipolit Sergejewicz drwiąco.

— Człowiek zawsze powinien być interesującym — rzekła sentencyjnie.

— Ale co znaczy: być interesującym? — zawołał Hipolit Sergejewicz z goryczą.

— Co znaczy? A... to trudno określić... gdyby byli żywsi... tak, żywsi... Powinniby się więcej śmiać, bawić, śpiewać... być śmielsi, dzielniejsi... silniejsi... nawet więcej zuchwali... szorstcy! Uważnie słuchał jej określenia i pytał sam siebie:

— Czy ona mi to zaleca jako program mego stosunku do niej?

— Brak ludziom żwawości... a trzeba, aby się wszystko robiło żwawo, iżby się życie stało zajmujące — oświadczyła poważnie.

— Kto wie? Może macie słuszość! — zauważył Hipolit Sergejewicz — to znaczy: naturalnie, że nie pełną słuszość...

— No, no, proszę się tylko nie wymawiać — rzekła, śmiejąc się. — Co znaczy; nie pełną?... Albo pełną, albo żadną... albowiem dobra, albo zła... ładna, albo brzydka! Tylko tak musi się sądzić! Ale jeśli się mówi: przyjemne, miłe dziewczę... to czyni się tylko z tchórzostwa... z jakiejś obawy przed prawdą!

— No, wiecie, takim podziałem na dwa rodzaje bardzo wielu obrazicie.

— Czemże?

— Niesprawiedliwością.

— Co was obchodzi sprawiedliwość? Jak gdyby się całe życie na niej opierało, i bez niej żadną miarą obejść się nie można. A któż jej potrzebuje? — Mówiła to zgryźliwie i kapryśnie, a z oczu leciały jej iskry.

— Wszyscy ludzie, Barbaro Wasyliewno! wszyscy, poczynawszy od chłopca... aż do was... — odparł Hipolit Sergejewicz z naciskiem, zauważywszy jej wzburzenie i starając się wytłumaczyć je sobie.

— Mnie nie potrzeba żadnej sprawiedliwości! — wzbraniała się stanowczo, czyniąc ręką ruch, jak gdyby chcąc od siebie coś odepchnąć. — A gdybym jej potrzebowała — już ją sama znajdę... Dlaczego wy się zawsze o wszystkich ludzi troszczycie? I... nie, wy to tylko mówicie, aby mnie gniewać... bo robicie się takim mężnym — nadętym...

— Ja, was gniewać? Czemu? — zapytał Hipolita Sergejewicz zdumiony.

— Czy ja wiem, dlaczego? Z nudów pewnie... Ale — lepiej dajcie pokój! Ja jestem i bez was... uh! nabita! Mnie z powodu moich wielbicieli przez cały tydzień karmiono kazaniami... oblewano mnie wszelakim jadem... i wstrętnymi podejrzeniami... Dziękuję pięknie!

— Oczy jej pały dziwnym blaskiem, nozdrza

drżały; trzęsła się cała ze wzruszenia, które ją nagle ogarnęło.

Z mgłą w oczach i gwałtownem biciem serca zaczął Hipolit Sergejewicz gorąco przed nią się tłumaczyć:

— Ja was nie chcę martwić...

Lecz w tejże chwili rozległ się nad nimi huk piorunu, jakby zachichotał olbrzymi potwór, płasko-dobroduszny. Ogłuszeni potężnym łoskotem, wzdrygnęli się oboje i na chwilę przystanęli, lecz zaraz szybko podążyli do domu. Liście na drzewach drżały, i cień padał na ziemię od chmury, która rozpostarła się na niebie jak miękka, aksamitna zasłona.

— Otośmy się jednak posprzecziali! — rzekła po drodze Warenika. — Nie zauważyłam nawet, jak chmura podpełzła.

Na schodkach stała Elżbieta Sergejewna i ciocia Łuczycka w dużym słomianym kapeluszu na głowie, który nadawał jej wygląd słonecznika.

— Będzie straszna burza? — oznajmiła swoim mocnym basem, wołając wprost w twarz Hipolitowi Sergejewiczowi, jak gdyby uważała za swój bezwarunkowy obowiązek przekonanie go, że burza nadciąga. Potem dodała: — Pułkownik zasnął — i znikła.

— Jak ci się to podoba? — spytała Elżbieta Sergejewna ruchem głowy wskazując na niebo. — Będziemy może musieli tu nocować.

— Jeżeli przez to nie sprawimy nikomu kłopotu.

— Otóż to człowiek! — zawołała Warenika, spoglądając na niego ze zdumieniem i prawie z litością. — Wciąż się tylko boi skrzywdzić, być niesprawiedliwym... ach! Ty mój Boże! No — nudne musi wam być życie... Zawsze wśród więzów... a mojem zdaniem — zechce się wam kogo skrzywdzić — krzywdźcie; zechcecie być niesprawiedliwym — bądźcie!

— A Bóg już sam rozstrzygnie kto ma słuszość — przerwała jej Elżbieta Sergejewna, uśmiechając się w przeświadczeniu o swojej wyższości. — Sądzę że trzeba się schronić pod dach... a wy?

— My się będziemy stąd przypatrywali burzy — tak? — zwróciło się dziewczę do Hipolita Sergejewicza.

On ukłonem wyraził, że się na to godzi.

— Ale ja nie jestem amatorką wielkich zjawisk przyrody... jeśli one mogą sprowadzić febrę albo katar. A zresztą można i przez okno zachwycać się burzą... oj!...

Mignęła błyskawica, przedzierając ciemność; zadrżawszy odśloniła na chwilę to, co pochłonęła, i napowrót się zwarła. Panowała przez kilka chwil przygniatająca cisza, potem jak armatni strzał zahuczał grzmot, którego dudniący łoskot toczył się kędyś ponad domem.

Zerwał się skądś gwałtowny wicher, chwycił kurz i żwir ze ziemi i toczył je jak piramidę wysoko w powietrzu. Wirowały żdźbła słomy, papierki i liście; wróble napełniały powietrze przerażonym piskiem; głucho szumiały liście drzew, i ze stłumionym szelestem sypał się kurz na dach żelazny domu.

Przez drzwi nawpół otwarte przyglądała się Warenika tej dzikiej grze burzy. Hipolit Sergejewicz stał za jej plecyma i mrużył oczy, chroniąc je od prochu.

Wiodący ku schodkom taras wyglądał w ciemności jak ponura skrzynia, a przy migocie każdej błyskawicy oświeślała się smukła postać dziewczęcia upiornem, błękitnawem światłem.

— Patrzcie!... Patrzcie!... — wołała Warenika, ilekroć błyskawica rozdzierała chmurę. — Widzieliście? to tam, jak gdyby chmura się śmiała — nie prawdaż? to bardzo podobne do uśmiechu... Są tacy ponurzy i milczący ludzie. Milczy, milczy taki człowiek — nagle rozjaśnia jego rysy uśmiech: — Oczy zaświecą, zęby błysną... ah! Otóż i deszcz!

Po dachu bębniły duże ciężkie krople; z początku rzadko, potem coraz częściej, nakoniec z jakimś okropnym łoskotem.

— Chodźmy — rzekł Hipolit Sergejewicz — zmokniecie!

Było mu niewygodnie stać tak blisko niej w tej ciasnej ciemności, niewygodnie — i przyjemnie. I patrząc na jej szyję, myślał: Cóż, gdybym ją tak pocałował?

Nagle zapłonęła błyskawica, rozświetlając pół nieba; w blasku jej widział Hipolit Sergejewicz, jak Warenika z okrzykiem zachwytu podniosła ramiona, przechyliwszy się w tył, jak gdyby nadstawiała pierś swą błyskawicom.

Pochwycił ją z tyłu wpół, położył prawie głowę swą na jej ramieniu i zapytał dysząc:

— Co?... Co?... Co wam?

— Ależ nic! — zawołała niechętnie, oswobadzając się z jego rąk silnym i zgrabnym ruchem. — Mój Boże, jak wy się lękacie — i to mężczyzna!

— Złakłem się o was... — rzekł głucho, usuwając się w kąt.

Miał wrażenie, jakby to dotknięcie ręce mu spaliło, i pierś jego napęłnił nieposkromiony żar pragnienia, by ją uścisnąć mocno — aż do bólu. Tracił z wolna panowanie nad sobą; chciał zejść z tarasu i stanąć tam — na deszczu, gdzie wielkie krople uderzały drzewa jakby razy bicia.

— Idę do pokoju — rzekł.

— Chodźmy — zgodziła się Warenika z niezadowolaniem, przesunęła się mimo niego bez szmeru i weszła.

— Cho — cho — cho; — przywitał ich pułkownik. — Z rozkazu komandanta żywiołów areszto-

waniście aż do cofnięcia rozporządzenia! Cho — cho — cho.

— Straszny piorun! — oświadczyła ciocia Łuczycka najpoważniej, wpatrując się przenikliwie w bladą twarz gościa.

— A ja właśnie tych szaleństw przyrody nie lubię — rzekła Elżbieta Sergejewna z wyrazem niechęci na chłodnem obliczu. — Burze — śnieżne zamieci — pociąg ta bezowocna strata takiej masy energii?

Hipolit Sergejewicz starał się stłumić swe wzburzenie; ale ledwie znalazł w sobie tyle siły, aby siostry spokojnie zapytać:

— Jak sądzisz, czy to długo potrwa?

— Całą noc — odparła Małgorzata Rodionówna.

— Bardzo możliwe — potwierdziła ciotka.

— Już wy stąd się nie wyrwiecie — rzekła ze śmiechem Warenika.

Półkanow zadrżał; czuł coś fatalnego w jej śmiechu.

— Tak, będziemy tu musieli przenocować — ozwała się Elżbieta Sergejewna. — Nocą nie zdołalibyśmy przebyć kamowego lasku, by nie rozbić przytem wozu... w najlepszym wypadku...

— Tu jest dość pokoi — zauważyła ciocia Łuczycka.

— W takim razie... prosiłbym... wybaczyć, proszę!... Burza szkaradnie na mnie działa...

chciałbym wiedzieć... gdzie będę umieszczony... pragnąłbym się tam na kilka chwil oddalić...

Słowa jego, wypowiedziane słumionym, urywanym głosem, wywołały ogólny niepokój.

— Salmiaku! — zabrzmiał głucho głos Małgorzaty Rodionówny, przebiegając całą skalę tonów. Zerwała się z miejsca i znikła.

Warenika uwijała się zmieszana po pokoju i mówiła mu ze zdziwieniem na twarzy:

— Zaraz wam pokażę... zaprowadzę was... tam jest cicho...

Elżbieta Sergejewna zachowała więcej spokoju, niż wszyscy inni i pytała go z uśmiechem:

— Dostałeś zawrotu?

A pułkownik zaczął ochryplym głosem:

— Co tam! wnet przejdzie. Mój towarzysz, major Gostalew, którego Turcy w czasie wycieczki zakłóli, ten był zuchem! oh! to rzadkość! mówię wam! Dzielny chłop! Pod Sisłowiem szedł na bagnety na czele żołnierzy tak spokojnie, jakby taniec prowadził! Bił się, rąbał, ryczał, strzaskał szablę, chwycił jakąś pałkę i tłukł nią Turków! Wojak, jakich niema wielu! Ale w czasie burzy dostawał także ataków nerwowych jak niewiasta jaka!... To było arcyśmieszne! No. całkiem tak jak wy, bladł, chwiał się i wołał: »ach! i och!« Pijaczysko, hultaj, dwanaście wierszków wysoki.— Wyobraźcie sobie, jak mu z tem było do twarzy?

Hipolit Sergejewicz patrzył i słuchał, uspra-

wiedliwiał się, uspokajał wszystkich, klnąc samemu sobie. Miał rzeczywiście zawrót głowy, i kiedy Małgorzata Rodionówna podsunęła mu pod nos flakonik i zakomenderowała: — Proszę wachać! — pochwycił salmiak i zaczął skwapliwie wciągać jego żrący zapach; czuł, że komiczna jest ta cała scena i poniża go w oczach Wareniki.

A w okna gniewnie bębnił deszcz; przelotne błyskawice rozświeślały pokój, grzmot wstrząsał szybami brzęczącymi trwożnie a wszystko to budziło w pułkowniku wspomnienia o zamęcie bitew.

— Podczas ostatniej tureckiej kampanii — nie pamiętam już, gdzie — była też piekielna taka wrzawa. Burza piorunowa, ulewny deszcz i salwy armatnie. Infanterya rozbiła się w rozsypkę... porucznik Wiachirew wyciągnął butelkę koniaku, zbliżył do ust — bulle, bulle, bulle — a kula krach! po butelce — w drobne kawałeczki! Porucznik patrzy na szyjkę butelki, która mu została w rękach, i powiada: Dyabli niech to porwą! Oni wojują z butelkami! cho — cho — cho! — A ja do niego! Mylicie się, poruczniku, Turcy tylko strzelają do butelek, ale wojują z wami. Cho — cho — cho! Dowcipnie — he?

— Lepiej wam? — spytała ciocia Łuczycka Hipolita Sergejewicza.

Podziękował jej przez zaciśnięte zęby. Spoglądał na wszystkich melancholijno-gniewnem okiem i zauważył, że Warenika z niedowierzaniem i zdzi-

wieniem uśmiechała się na szept jego siostry, która przechyliła się do jej ucha.

Nakoniec udało mu się uciec od tych ludzi. W małym pokoiku, który mu wyznaczono, rzucił się na kanapę i wśród szelestu padającego deszczu począł sobie swoje uczucia uświadamiać.

Bezsilny gniew na siebie samego walczył w nim z chęcią zrozumienia, jak się to stało, że stracił zdolność panowania nad sobą. — Miałaby skłonność do tej dziewczyny tak głębokie w nim zapuścić korzenie? — Nie zdołał jednak umysłu skupić na tym punkcie i myśli swojej doprowadzić do końca. Szalał w nim wściekły wichur zbuntowanych uczuć. Zrazu postanowił się jej oświadczyć; ale postanowienie to porzucił natychmiast, zważywszy że w ślad zatem pójdzie niepożądany obowiązek wejścia w jakiś określony względem Wareniki stosunek; a byłoby to przecież niemożliwe, żenić się z tym prześlicznym podrostkiem! Wyrzucał sobie, że dał się tak dalece swej skłonności ku niej porwać, a równocześnie i to, że nie był w stosunku do niej dosyć śmiały. Zdawało mu się, że jest gotową mu się oddać i że tylko chłodną kokieterią z nim igra. Nazywał ją głupią, zwierzęcą istotą bez serca i zbijał sam siebie, usprawiedliwiając ją. A w okno pukał deszcz i cały dom trząsł się od uderzeń gromu.

Ale niema ognia, który nie gaśnie. Po długiej i dręczącej walce udało się mu, wcisnąć się w śrubę

rozsądku; wszystkie jego wzburzone uczucia odpłynęły napowrót w głąb serca, ustępując miejsca zakłopotaniu i oburzeniu na siebie samego.

Ta dziewczyna niepoprawnie zepsuta, przez to potworne towarzystwo, nieprzystępna wpływowi zdrowego rozsądku i niewzruszenie uporczywa w swoich błędach — dziwna ta dziewczyna zamieniła go w przeciągu trzech miesięcy w zwierzę! Uginał się pod hańbą faktu... uczynił wszystko, co mógł, aby ją uczłowieczyć; a jeśli nie zdołał zrobić więcej — to nie jego była wina. Lecz zdziaławszy to, co mógł, powinien był ją opuścić — i to jest jego wina, że się wczas nie usunął i że jej pozwolił rozbudzić w sobie ohydny wybuch zmysłowości!

Inny mniej porządny człowiek, byłby może w takim wypadku mądrzejszy odemnie... tu ukłóła go niespodziewana myśl:

Czy powstrzymywała mnie rzeczywiście moja cnota? Może to była tylko bezsilność mego uczucia? Cóż, jeśli to nie uczucie, ale pożądanie tak mnie wzburza? Czy ja wogóle umiem kochać?... Czy mogę być mężem, ojcem?... Czy mam w sobie to, czego obowiązki takie wymagają? Czy ja wogóle jestem człowiekiem?...

Myśli jego pracowały bezustannie, a w głębi duszy odczuwał chłód i coś, co go trwożyło i poniżało...

Wkrótce poproszono go na wieczerzę.

Warenika przyjęła go spojrzeniem pełnem ciekawości i zapytała przyjaźnie: — Jak się ma główka?

— Dziękuję wam — odparł sucho, siadając zdala od niej i myśląc w duchu:

— Nawet mówić nie umie: — główka.

Pułkownik drzemał, kiwając głową i od czasu do czasu wydając ze siebie chrapliwe głosy. Panie siedziały wszystkie trzy obok siebie na kanapie, rozmawiając o różnych drobnostkach. Szmer deszczu za oknami stawał się cichszy, ale ten słaby, uporczywy ton zdradzał jego silne postanowienie oblewania ziemi nieskończenie długo.

Ciemność zazierała w okna, w pokoju było duszno, a zapach nafty z trzech płonących lamp zmieszany z wyziewem pułkownika powiększał zaduch i nerwowy stan Hipolita Sergejewicza.

Spoglądał na Warenikę i rozmyślał: Nie przychodzi do mnie... co to może być? Czy jej w końcu Elżbieta nie powiedziała czego... czego niedorzecznego... jakiego wniosku ze swojej obserwacji?

W jadalni gospodarowała ocieźale tęga Fiekła. Jej okrągłe oczy spoglądały ustawicznie do salonu na Hipolita Sergejewicza, który w milczeniu palił papierosa.

— Panienko! Wieczera gotowa! — oznajmiła z westchnieniem, wtłaczając się w drzwi salonu.

— Chodźmy jeść!... Hipolicie Sergejewiczu!...

Proszę! Ciotko, nie trzeba taty niepokoić, niech zostanie tu i drzemie... tam znowu zacznie pić.

— To rozumnie — zauważyła Elżbieta Sergejewna.

A ciocia Łuczycka rzekła półgłosem, wzruszając ramionami:

— Teraz to wszystko już zapóźno... Będzie pił — to prędzej umrze. Za to będzie miał więcej przyjemności. Nie będzie pił — pożyje o rok dłużej — ale gorzej.

— I to także rozumnie — rzekła Elżbieta Sergejewna, śmiejąc się.

Przy stole siedział Hipolit Sergejewicz obok Wareniki i skonstatował, że bliskość tej dziewczyny znów równowagę jego burzy. Zapragnął przysunąć się do niej tak blisko, by mógł sukni jej dotykać. I przyzwyczajony do badania samego siebie, pomyślał, że w jego skłonności do niej jest wiele samolubstwa ciała ale niema siły ducha... — Zwiędłe serce! — zawołał z goryczą. I w ślad za tem z dumą prawie zauważył, że nie waha się prawdy rzec o sobie samym i umie pojąć każdy objaw swojej duszy.

I zajęty samym sobą milczał.

Warenika zrazu często się do niego zwracała, lecz otrzymując w odpowiedzi suche i jednozgłoskowe słowa, straciła rzeczywiście ochotę do rozmowy. Dopiero po wieczery, kiedy przypadkowo pozostali sami, zapytała go wprost:

— Czemużecie tacy przygnębieni? Czy się nudzicie, czy jesteście niezadowoleni ze mnie?

Odpowiedział, że nie czuje się przygnębianym i wcale z niej nie jest niezadowolony.

— A więc cóż wam jest? — nalegała.

— Sądzę, że nic osobliwego... zresztą — niekiedy zbytek uwagi dla człowieka męczy go.

— Zbytek uwagi? — pytała Warenika z troskliwością... czyjej? — Ze strony ojca? Ciocia przecież nie mówiła z wami.

Czuł, że się rumieni wobec tej niezrażonej szczerości lub beznadziejnej głupoty. A ona, nie czekając na jego odpowiedź, mówiła dalej:

— Nie bądźcie takim... proszę! Ja nie lubię takich zachmurzonych ludzi... wiecie co?... zagrajmy w karty... chodźcie!

— Gram źle... i przyznam się, że nie lubię takiej bezowocnej straty czasu... oświadczył Hipolit Sergejewicz, czując, że zaczyna się z nią godzić.

— I ja także nie lubię... No, ale co robić? Widzicie przecież, jakie u nas nudy — rzekła dziewczyna rozżalona. — Ja wiem, wy się takim stali z nudów.

Zaczął ją zapewniać, że jest wręcz przeciwnie, a im więcej mówił, tem goręcej wychodziły słowa, aż wreszcie niepostrzeżenie zakończył:

— Jeśli tylko zechcecie — z wami i na pustyni nie będzie mi nudno...

— Cóż ja mam uczynić w tym celu? — przerwała mu; widział, że jej pragnienie roz pogodzenia go było w zupełności szczere.

— Nie nie trzeba czynić — odrzekł, kryjąc głęboko w sobie to, coby jej pragnął odpowiedzieć.

— Nie — doprawdy. Wy przyjechali tu odpocząć, macie tyle ciężkiej pracy... Wam potrzeba sił... Przed waszym przyjazdem mówiła mi Liza: Otóż my z tobą pomożemy uczonemu odpocząć i rozerwać się... A my — coż ja mogę zrobić? Naprawdę — ja... gdyby to od was nudy odeгнаło... całowałabym was!

Zrobiło mu się ciemno w oczach, wszystka krew tak mu gwałtownie spłynęła do serca, że się zachwiał.

— Proszę spróbować... całujcie... całujcie... — mówił stłumionym głosem, stojąc przed nią, a nie widząc jej.

— Oho! Patrzcie, jaki mi z was! — rzekła Warenika, wymykając się ze śmiechem.

Postąpił krok za nią i przystanął, chwyciwszy się mocno drzwi; wszystko w nim się ku niej rwało.

Kilka chwil przeszło, zanim zobaczył pułkownika. Stary spał, skłoniwszy głowę ku ramieniu, i swobodnie sobie chrapał.

Głos ten przywrócił przytomność Hipolitowi Sergejewiczowi. Poczem przekonał się, że mono-

tonne i żałośnie jęki nie z jego piersi idą, lecz że to deszcz płakał za oknami a nie urażone jego serce. Wówczas gniew w nim zawrzał.

Ty igrasz... igrasz... szeptał przez zaciśnięte zęby i groził jej jakąś obelżywą karą. W piersi jego gorzał żar, a nogi i głowę jakby kłóły ostre szpilki lodu...

Z głośnym śmiechem weszły panie do pokoju. Na ich widok Hipolit Sergejewicz skupił się wewnętrznie.

Ciocia Łuczycka śmiała się tak głucho, jak gdyby jej w piersi pękały jakieś grube i wielkie pęcherze.

Twarz Wareniki ożywiona była filuternym uśmiechem, a śmiech Elżbiety Sergejewny był pobłażliwy i wstrzymany.

— Być może, że to ze mnie!... pomyślał Hipolit Sergejewicz.

Zaproponowana przez Warenikę gra w karty nie przysłała do skutku, co dało mu możność oddalenia się do swego pokoju.

Usprawiedliwiwszy się niedyspozycją, opuścił salon i czuł, że go odprowadzają trzy spojrzenia i wiedział, że wszystkie mówią: nie rozumiem...

Lecz to mu było obojętne. Opanowany był tylko jednym pragnieniem: pomszczenia się, poniżenia tej dziewczyny, która sobie na taki wybryk pozwala; chciał doprowadzić ją do płaczu a samemu patrzeć na nią i śmiać się z jej łez. Ale

nie długo mogły się uczucia jego utrzymać w takim stopniu naprężenia. Namiętności swe przywykł był poddawać sile rozwagi, skutkiem czego objawiały się już umiarkowane. Jego miłość własna podrażniona była aż do bólu przeświadczeniem, że ona z nim igra; lecz równocześnie rosło w nim już zagłuszone dopiero co przeżyta scena postanowienie odpłacenia się tej dziewczynie zupełną obojętnością na jej piękność. Należało koniecznie dać jej uczuć, jak mało w jego oczach znaczy — mogłoby to dla niej być z korzyścią, ale w takim razie musiałoby to być nauką, a nie zemstą naturalnie!

Rozważanie takie uspakajało go zazwyczaj, ale tym razem czuł w swojej piersi coś, od czego się nie mógł sam wyzwolić, ciężar, który go przyniatał. Rozjaśnić to dziwne, prawie chorobliwe uczucie — i chciał i nie chciał równocześnie.

— Przekłète wszystkie uczucia, które nie dają się określić! — wołał w duchu.

A gdzieś w pokoju spadały na ziemię monotonne krople wody i wybijały: tak... tak...

Prawie godzinę przesiedział tak we walce z sobą samym, usiłując daremnie zdać sobie sprawę z tego, co pozostawało niepojętem i było silniejsze nad wszystko dlań dotąd zrozumiałe.

W końcu postanowił położyć się i zasnąć z tem, aby nazajutrz rano wyjechać zwolnionym od wszystkiego, co go tak złamało i poniżyło.

Lecz leżąc w łóżku, mimowolnie wyobrażał sobie Warenikę, tak, jak widział ją na ganku: ramiona wyciągnęła jakby do uścisku, a pierś jej drżała zachwytem przy płomienieniu błyskawicy.

I znowu myślał o tem, że gdyby był z nią śmielszy... i ucinał myśl tę, kończąc: to przykułbym się do bezsprzecznie bardzo pięknej kochanki — lecz niedogodnej, przykrej i głupiej, z charakterem drapieżnej kozicy i najgrubszą zmysłowością... to pewna!...

Lecz nagle wśród tego rozmyślania tknęło go jakieś przypuszczenie, czy też przeczucie, i zadrżał na całym ciele. Szybko zerwał się na nogi i podbiegłszy do drzwi swego pokoju, otworzył je; potem, uśmiechając się, położył się znowu do łóżka i zaczął na drzwi spoglądać, myśląc wśród uczucia nadziei i niepokoju:

— To się zdarza... — To się zdarza...

Czytał gdzieś, że się pewnego razu tak zdarzyło: ona przyszła w nocy i oddała mu się, o nic nie pytając, nie żądając niczego — byle przeżyć chwilę... Warenika — ona przecież miała w sobie wiele z bohaterki tej powieści — mogła tak postąpić. Może w jej wdzięcznym wykrzyku: — Jaki mi to z was!... leżała już jej obietnica — tylko on jej nie dosłyszał... A teraz — ona nagle wejdzie, cała w bieli, drżąca ze wstydu i pożądania!

Kilka razy wstawał z łóżka i nasłuchiwał w po-

śródnocnej ciszy domu i szelestu deszczu, chłodząc gorące swoje ciało. Ale wszędzie było cicho i znikąd nie dochodził upragniony szmer ostrożnych kroków.

— Jak ona wejdzie? — myślał i przedstawiał ją sobie u progu z obliczem zdecydowanym i dumnym. — Dumnie mu naturalnie odda swoją piękność... to dar królowej!... A może przed nim stanie ze schyloną głową, zmieszana i zawstydzona i ze łzami w oczach... Lub nagle przyjdzie doń ze śmiechem, z cichym śmiechem z jego cierpień, które ona zna, które od dawna już przejrzała, chociaż nie dawała tego po sobie poznać, by go dręczyć i bawić się jego udręczeniem.

W tym stanie, podobnym do delirium szaleńca, kreślił sobie w wyobraźni rozkoszne obrazy, podrażniając nimi coraz bardziej swe nerwy... Nie zauważył, że deszcz ustał i do okien jego pokoju z jasnego nieba zaglądały gwiazdy... Oczekiwał odgłosu kroków, kroków kobiety, któraby mu rozkosz przyniosła. Od czasu do czasu, lecz tylko na niedługą chwilę, gasła w nim nadzieja uściskania tej dziewczyny; wówczas w przyspieszonym biciu swego serca słyszał wyrzut przeciw sobie i przyznawał, że ten stan, który przeżywa, jest naturze jego obcy, jest haniebnym, chorobliwym i wstrętnym. Ale wewnętrzny skład człowieka jest zbyt skomplikowany i różnorodny, by jedno jedyne uczucie wszystkie inne mogło utrzymać w state-

cznej równowadze; i dlatego w życiu każdego człowieka wytwarza się otchłań, w którą niechybnie wpaść musi, gdy czas na to przyjdzie; a ostrożni — przez gorzką ironię sił życiowładnych, które nami rządzą — wpadają jeszcze głębiej i tem dotkliwiej się ranią.

Dreńczony namiętnością, majączył do samego rana. Kiedy już słońce wschodziło, rozległy się kroki. Drżący siadł na łóżku, z gorączką w oczach — i czekał. Czuł, że, jeśli ona przed nim się zjawi — nie starczy mu nawet sił do wypowiedzenia jednego słowa wdzięczności... A kroki zbliżały się do drzwi powolne i ciężkie...

I oto drzwi otwały się cicho...

Hipolit Sergejewicz, opadł bezsilnie na poduszkę, zamknął oczy i zamarł...

— Czy może was zbudziłam? Chciałam wziąć wasze buty... i spodnie — mówiła sennym głosem gruba Fiekła, posuwając się leniwo, jak wół, do łóżka. Wzdychając, ziewając, potrącając o meble, zabrała jego ubranie i poszła; w pokoju został po niej nieprzyjemny zapach kuchni.

Długo leżał rozbity i jakby zniszczony, uważając, jak zwolna bladły ostatnie cienie tych obrazów, które przez całą noc torturowały jego nerwy.

Potem wróciła dziewczka z jego ubraniem, położyła je i odeszła, wzdychając ciężko. Począł się ubierać, nie zdając sobie sprawy z tego, dlaczego właściwie czyni to tak wcześnie. Potem wpół bez-

wiednie postanowił pójść do rzeki wykąpać się — i to go nieco ożywiło. Ostrożnie przeszedł obok pokoju, w którym pułkownik głośno chrapał, następnie jeszcze obok zamkniętych drzwi jakiegoś innego pokoju; na chwilę tam przystanął, ale spojrzawszy na nie uważnie, poznał, że to nie te... Nakoniec jakby w półśnie wyszedł do ogrodu i udał się wąską drożyną, która — jak wiedział — prowadziła do rzeki.

Jasno było i rzeźwo; słońce promieniało jeszcze różowym blaskiem; ożywione szpaki gawędziły ze sobą, skubiąc czereśnie. Na liściach drżały krople deszczu, jak dyamenty, niby promienne łązy radości spadając na ziemię, która je chłoneła chciwie. Grunt był wilgotny, nie wessał jeszcze wszystkiego deszczu, który opadł w nocy, ale nigdzie nie było widać kałuży ni błota.

Wszystko było takie czyste, świeże, odmłodzone — jak gdyby się tej nocy było urodziło, i takie było wszystko ciche, nieruchome — jak gdyby jeszcze do ziemskiego życia nie nawykło i w bezsłownym zachwycie podziwiała boską piękność słońca, które po raz pierwszy widzi...

Hipolit Sergejewicz spoglądał wokoło, a mrok, który spowił jego myśl i duszę, ustępował zwolna pod tem czystem tchnieniem nowonarodzonego dnia pełnego słodkich, orzeźwiających zapachów.

Oto i rzeka — w promieniach słońca jeszcze złota i różowa; woda, nieco mętna od deszczu, słabo

tylko odzwierciadlała zieleni brzegu w swoich fałdach. Gdzieś blisko ryba pluskała — a ten plusk i świergot ptaków były jedynymi głosami przerywającymi ranną ciszę. Gdyby nie było mokro, można by było położyć się na ziemi i leżeć tu nad rzeką, pod zielonym baldachinem, póki dusza nie otrząśnie się z wrażeń przeżytych tej nocy.

Hipolit Sergejewicz szedł wzdłuż brzegu, przeryzowanego kapryśnie piaszczystymi kępami i małąkami zalewami, okrytymi zielenią; prawie co pięć kroków nowy się przed nim obraz roztaczał. Zwolna i bez szelestu kroczył wzdłuż wody, jakby wiedział, że wciąż nowe jakieś nań czeka wrażenie. I dokładnie przypatrywał się konturom każdej zatoki i figurom drzew, schylonych nad nią, jak gdyby chciał sobie wytłómaczyć, czem różni się nowy szczegół obrazu od tego, który zostawił za sobą. Nagle stanął jak olśniony.

Przed nim, po pas w wodzie, stała Warenika, ze schyloną głową, rozgarniając rękoma mokre włosy. Chłód i promienie słoneczne dodawały jej ciału różowego blasku, a krople wody połyskiwały na niem jak srebrzysta łuska; powoli spływały z ramion i piersi, ale nim do wody spadły, błyszczała jeszcze długo każda kropla w słońcu, jak gdyby nie chciała rozstać się z ciałem, które właśnie spłukała. A z włosów spływała woda, przeciekając pomiędzy różowe palce dziewczyny, z delikatnym, pieszczotliwym dźwiękiem.

Spoglądał na nią z zachwytem i nabożeństwem, jak na świętość jaką — tak czystą i harmonijną była piękność tej dziewczyny, kwitnącej siłą młodości — i nie czuł innych pragnień prócz — patrzenia na nią. Nad głową jego wśród gałęzi leszczyny słowik skarżył się i kwilił. Ale dla niego wszystkie dźwięki natury i wszystko światło słoneczne ucieleśnione były w tej dziewczynie, która wśród fal przed nim stała. I bezgłośnie łechtały fale jej ciało, kołysząc je cicho — lekko w swym spokojnym biegu.

Ale dobro jest równie krótkie, jak jest rzadkiem piękno, i to, co ujrzał, widział kilka chwil zaledwie; bo nagle podniosło dziewczę głowę i z gniewnym okrzykiem zanurzyło się do wody po szyję.

Ten ruch jej wywołał oddźwięk w jego sercu — i ono się ściągnęło, drżąc, jakby ścisnęło je lodowe zimno... Dziewczyna patrzyła nań iskrzącym wzrokiem, gniewna zmarszczka wystąpiła jej na czoło, szpecąc jej oblicze wyrazem przerażenia, pogardy i złości.

Słyszał głos jej oburzenia:

— Precz... idźcie precz!... Cóż wy! Jak się nie wstydzicie!...

Ale słowa jej dolatywały do niego jakby z jakiejś dali, niezrozumiale, i nie wzbraniały mu niczego.

Z wyciągniętymi ramionami schylił się nad wodą. Ledwo mógł stać na nogach, które drżały

z wysiłku, niezdolne utrzymać jego nienaturalnie przegiętego ciała, dręczonego palącą namiętnością. Cała jego dusza, każdy nerw jego istnienia rwał się ku niej, aż nakoniec upadł na kolana, które prawie dotykały wody.

Znowu wydała gniewny okrzyk i uczyniła ruch, jakby do pływania; stanęła jednak i zawołała głosem stłumionym od wzburzenia:

— Idźcie precz!... Ja nikomu nie powiem!

— Nie mogę... — chciał odpowiedzieć; ale słowa jego nie wydostały się z drżących ust, które nie miały siły rzec cokolwiek.

— Strzeż się... ty! Zabieraj się! — krzyczała dziewczyna. — Podły! nikczemny!...

Cóż dla niego znaczyły te gniewne okrzyki? Swym suchym pałającym wzrokiem patrzył jej wprost w oczy i czekał jej na kolanach... I czekałby na nią, choćby wiedział, że mu się ktoś nad głowę zamierza toporem, aby mu roztrzaskać czaszkę.

— O! ty... nikczemny psie!... Teraz ja cię... syczała ze wstrętem i nagle rzuciła się ku niemu z wody.

Rosła w jego oczach, rosła, jasniejąc pięknoscią. — Oto przed nim stoi — do stóp naga — cudownie piękna w swoim gniewie. Widział to — i czekał jej w pożądlivem upragnieniu. W tem pochyliła się ku niemu... wyciągnął ramiona — lecz objął powietrze.

I w tejże chwili uderzyło go w twarz coś mokrego i ciężkiego. Cofnął się oślepiiony. Szybko przetarł oczy; wilgotny piasek miał między palcami, a na głowę, ramiona i policzki spadały uderzenia. Ale uderzenia te nie sprawiały mu bólu, inne uczucie w nim obudziły, i rękoma zakrył głowę; czynił to jednak więcej mechanicznie niż świadomie. Potem słyszał płacz oburzenia... W końcu rażony silnem uderzeniem w piersi, padł na wznak na ziemię. Nie bito go już. Coś zaszeleściło w krzakach, potem stało się cicho...

Nieskończenie długie były chwile ponurego milczenia, odkąd szmer ten zamarł.

Wciąż jeszcze leżał nieruchomy, przybity swą hańbą i wiedziony instynktowem dążeniem ukrycia się przed swoim wstydem, wciskał się mocno w ziemię...

Gdy otworzył oczy, widział błękitne niebo — i zdawało mu się, że ono szybko się przed nim cofa wyżej, wyżej...

Oddychał tak ciężko, że aż zaczął jęczeć... i z wolna zapadał w stan, w którym zupełnie stracił czucie.

... Tak leżał, aż uczuł zimno. Gdy otworzył oczy, ujrzał pochyloną nad sobą Warenikę. Przez palce jej spływały mu na twarz krople wody, i słyszał głos jej:

— No? — Dobrze tak?!... Jak tak przyjdziecie do domu?... Taki wstrętny, obłocony, mokry

i odarty?... E! Powiedźcie przynajmniej, żeście z brzegu spadli do wody... Nie wstyd wam?!... Ja was przecie mogłam zabić, gdyby mi co innego było wpadło w ręce.

Mówiła jeszcze wiele; ale wszystko to bynajmniej nie zmniejszało i nie zwiększało tego, co odczuwał.

Nie odpowiadał na jej słowa; ale gdy powiedziała mu, że odchodzi, zapytał po cichu:

— Ja was... nigdy was... nigdy już nie zobaczę? — A kiedy pytał o to, obudziło się w nim wspomnienie i zrozumiał, że powinien był powiedzieć:

— Przepraszam...

Ale nim to zdążył wyrzec, zrobiła ręką ruch w powietrzu, jakby już o nim nic nie chciała wiedzieć i szybko znikła za drzewami.

A on siedział, oparty grzbietem o pień drzewa i patrzył tępym wzrokiem, jak u jego stóp płynęła mętna woda rzeki.

Powoli płynęła... powoli... powoli...

KONIEC.



